

# WIEŚ JUSTROWAŃNA

KWIECIEŃ

1912





# G. G. Lardelli

**CUKIERNIA**  
i Szwajcarska Fabryka Czekolady  
ULICA POLNA Nr 20 — 22.

W WARSZAWIE FILJE: BODUENA 5, NOWY ŚWIAT 27, MARSZAŃKOWSKA 87. W ŁODZI: PIOTRKOWSKA 100.



FIRANKI **DYWANY** Materje meblowe  
PORTJERY  
Własnej fabryki

## Z. Kiltynowicz

N<sup>o</sup> 16 (wprost Erywańskiej)

ul. Mazowiecka N<sup>o</sup> 16.



## „J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA, WINCHESTRA, FRANCOтта i innych

Cenniki na żądanie.

## Wyborowe tytonie

„ARABSKIE”

w cenie od Rb. 1,84 do Rb. 8,60 za funt.

„KWIAT YAKA”

w cenie od Rb. 1,84 do Rb. 12,00 za funt.

POLECA

Krajowa Fabryka „**NOBLESSE**” w Warszawie  
**KALINOWSKI i PRZEPIÓRKOWSKI.**

### BIURO I PRZEDSIĘBIORSTWO MELIORACYI ROLNYCH INŻYNIERA T. SKORACZEWSKIEGO

WARSZAWA, ul. Mokotowska Nr 59, tel. 252-86.

FILJA: Śrem W. Ks. Pozn.

Wszelkie projekty i roboty ziemne. Kredyt melioracyjny.  
Warunki dogodne. Poważne referencje.



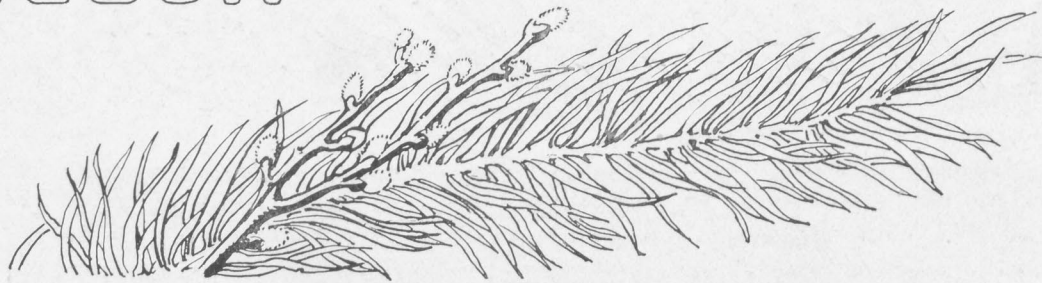
# *Wies' ilustrowana*



Książe Józef Poniatowski.



# ALLELUJA



Jeszcze jedna wiosna, jeszcze jedna Wielka Noc Zmartwychwstania Pańskiego i jedno jeszcze w szeregu lat Alleluja nad czarnym, chlebnym, naszej ziemi zagonem!.. Każdemu ten hymn dzwonów Wielkanocnych coś wróży, każdemu coś obiecuje, nad wszystkimi sercami rozpina on pajęczą siatkę tęczyowych nitek nadziei!..

Żałobą tylu zawodów jak piekielnym gżłem Dejaniry omotane, złudzeniami wiekuiście i moralną nauką swoich i cudzych mentorów karmione, tęsknoty pełne, jednego choćby jasnego promienia łaknące idą i nasze serca w orszaku tłumnym w noc Rezurekcji do Grobu Chrystusowego.

Po radość?...

Dla nas — Chrystus w dziejach nie zmartwychwstał jeszcze od owego Golgoty dnia, na którego pamięć dziś u Grobu Jego kiękamy...

Nie zmartwychwstała dla nas Miłość — choć Wiara i Nadzieja wciąż, przez tyle ciężkich lat w naszych sercach żyje!..

Idziem krzyżową drogą przez cierpienie i ból — jak On niegdyś szedł, przed dziewiętnastu wiekami...

Morze niesprawiedliwości i krzywd było za Nim — drugie, morze zła przyszłego stało się bezkresnym kręgiem Czasu u Jego krwawiących świętych stóp... Odkupił ofiarą swą jedno i drugie.

Zniszczył Czas, z odmętu ludzkich czynów zbawił ducha świata i wywiódł go za sobą w jasny wszechbytu szlak.

Nasz dzień Zmartwychwstania przed nami jeszcze — w mgłach jutra!

Musimy wpierrw odkupić ten dzień i chwilę — jak On odkupił świat! bólem, którego końca nie znamy — cierpieniem, które co dnia staje przy nas jako żywota towarzysz powszedni — pracą, która uczyni z nas jednolite ciało o milionach głów, ale o sercu jednym i duszy wspólnej wszystkim, w gromach zahartowanej, w próbach oczyszczonej, niezłomnej — zmartwychwstałej z popiołów dawnego życia!

Dziś, kiedy dzwony na Alleluja po świecie całym uderzą, do Grobu Chrystusowego nie po radość spełnionego Zmartwychwstania ni po wesele nowej wiosny przyjdziemy — ale po siłę wytrwania, po cierpliwości cnotę i po wewnętrzną ducha moc!

Aby ducha nie stracić, skorośmy go dotąd ustrzegli.

Aby miłość w sercach utwalić i stać się godnymi Zmartwychwstania.

Aby nie sprzykrzyć sobie powszedniej żywota naszego ciężkości, skoro wierzymy w Jutra świt.

Aby mocno trwać i wytrwać.



## ŚWIĘCONE.

**B**aranek Wielkanocny, biały, z chorągiewką czerwoną stanął na stole w kręgu kołaczy, placków, bab, nad misą kraszerek pełną, w wieńcu z kielbas smakowitych.

Święcone polskie!

Nie będzie już dziś jak ongi, ale pełne jeszcze tradycji i pełne specjalnego charakteru i — wspomnień! Nigdzie tak jak w Polsce nie obchodzono święconego i dziś już nigdzie tak tej uroczystości nie obchodzą. Miasta wyłamały się już potrosze od tego zwyczaju — wieś po staremu jeszcze go się trzyma. Z tradycji solennego podczas Wielkanocy hołdowania podniebieniu i żołądkowi, został dziś obrządek stary dzielenia się jajkiem święconem i daniny serdecznej życzeń wzajemnych, którą skore do uczucia, zawsze gorące

i zawsze poczciwe serca polskie tak chętnie sobie zawsze składają!

W dniu tym, przed gankami białych dworów szlacheckich stoją gromady białych chłopskich sukman — razem pleban miejscowy święci dworowi i chacie święcone, razem dwór z chatą bierze błogosławieństwo, razem oboje dążą do wiejskiego kościołka na Rezurekcję!

Dzień wesoły i dziwnie miły!

Na chlebnym, z zamrozów zimowych odkrzepłym zagonie żywicielki — ziemi stają w nim ramię przy ramieniu wszyscy ci co z niego wyrosli, na nim i dla niego żyją! Na Alleluja i my do nich dłoń braterską wyciągamy zdaleka — z tego samego szeregu pracownicy — z życzeniami serdecznymi, z pozdrowieniem, z wielkanocną kraszanką!

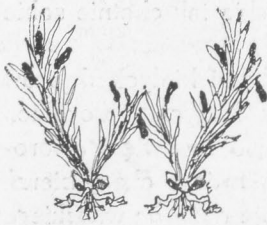


*Od „Wsi Ilustrowanej”  
na święcone wszystkim wsi polskiej mieszkańcom życzenia  
„Wesołego Alleluja”*

*składamy.*



# KSIĄŻE JÓZEF PONIATOWSKI.



rocznicowym tym, pełnym wielkich pamiątek roku, myśl narodowa odprawiwszy solenne wspominki za wielkich synów tej ziemi, co światła jasne zapalili nad nią, zejść musi jeszcze w kryptę podwawelską z winnym hołdem dla rycerza bez skazy, co honor polski i jedynie trzeźwą, jedynie zbawczą myśl polityczną przed stu laty na swoje barki wziął i dostojnie aż do stóp Bożego Tronu doniósł.

Skromny i prosty sarkofag ten, z czarnego marmuru, zwłoki rycerza narodowego kryjący, nieprzepartą mocą, serca wszystkie i ducha polskiego do siebie ciągnie!.. Królewskie, bo leżą w nim prochy—tym, dookoła stojącym, monarszym, równe!

Mają narody i ziemie inne, legendy cudne o cnoście rycerskiej z pod Krzyża wyszłej, w świętym Graalu zaczarowanej, w świetnym połysku, nieskażonych żadną plamą, tarcz honoru przeglądającej się jak w zwierciadle czarodziejskiem—mamy i my nie legendę, nie fantastyczny z tęsknot dusznych i z malowideł wyobraźni utkany ideał, ale bohatera istotnego, rzeczywistego, na olbrzymią miarę z jednej bryły wykutego rycerza, strażnika dożywnego narodowego honoru, którego pamięć, póki stanie imienia polskiego na ziemi, nie zgaśnie!

Mają inni legendy o honorze — my mamy honor żywy, ziszczony, odkupiony i zbawiony bohaterskim zgonem tego, co go strzegł, co nie żałował ani krwi, ani męki dusznych udręczeń, ani życia własnego aby ten honor polski ocalał i żył dzięki niemu na wieki!..

I nie jest to czcze słowo. Nie jest to dym frazesu, wyrwanego z piersi polskich, taniem uczuciem szowinizmu z tych piersi — dziwnie zawsze czujących na każdy zachwyty pośmiertny, dziwnie łatwo zajmujących się od każdego słomianego ognia łatwego entuzjazmu; to historyczna prawda, którą z plewy obojętności i z niedbałego właśnie zapomnienia dobył na światło dzienne potężny umysł i niezmiordowana praca jednego z największych i najmądrzejszych badaczy dziejów — Szymona Askenazego, tego polskiego Macaulay'a czasów bieżących.

Wizerunek, strażnika polskiego honoru, Józefa księcia Poniatowskiego, narysowany tem troskliwym i sumiennem piórem wielkiego historjosofo w niespełna sto lat po bohaterskiej, lipskiej ofierze, jest dla społeczeństwa polskiego jednym z najcenniejszych dokumentów politycznej żywotności, jest księgą rycerskiej niezmazanej chwały, jest drogim relikwiarzem którego świeci wieki, niespożyty przez czas, królewski blask, czci narodowego bohatera ostatniej doby naszych dziejów.



Pałac w Jabłonnie.



Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego.

Rok 1812 był właśnie ową przełomową chwilą, w której rozstrzygnęło się życie polskiego honoru, a rozstrzygnęło się właśnie w duszy i w czynie księcia Józefa.

Jeszcze ofiara za to życie przyszłe, za ten czyn, nie spełniła się w tym roku — jeszcze trzeba poczekać ze stuletnim rocznicowym żałobnym i poczestnym tej świętości wspominkiem do 19 października przyszłego roku — ale sto lat temu poczył się już właśnie ten wielki czyn, którego pamiątkę podnosimy dzisiaj.

Z dziejowego huraganu 1812 roku wyszły ludy Europy w łachmanach nędzy, okryte ranami, konające ze śmiertelnego znużenia; niejedne z nich zatraciły w tych tytanicznych zapasach nietylko swój byt, ale nawet swoje dobre imię; my, wyszliśmy z tej zawieruchy, jak inni, z krwawą raną w piersiach, ale z czystym czołem; oblewał je rzęsisty pot śmiertelnego znoju, ale nie dotknęła go — hańba.

Zawdzięczamy to Józefowi Poniatowskiemu. On ocalił nasz honor, — on poprowadził losy kraju „jedynie możliwą i dobrą, jaką dopuszczaly okoliczności, chociażby najcięższą drogą istotnych jego przeznaczeń“\*), — on w rok później, w „bitwie

narodów“ pod Lipskiem, broniąc przedmieścia Probstheide, pod okiem patrzącego z przeciwległego pagórka na te nadludzkie wysiłki cesarza Aleksandra I „zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy“ — „utwierdzał w nim szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy przez niego wyobrażonej“\*\*).

A tem większą jest zasługa i chwała bohaterskiego wodza, tem jaśniejsza i promienniejsza owa gloria co imię jego otacza, im trudniej było w powikłanych owych i nad wyraz groźnych okolicznościach dziejowych roku 1812, drogę właściwą postępowania odnaleźć, im więcej było samemu i osamotnionemu na niej przez najbliższych nawet wytrwać, im boleśniejsem było to wielkie brzemię odpowiedzialności nietylko w terażniejszość ale w daleką, w mytach jeszcze historycznych leżącą narodu i kraju przyszłość.

Książe Józef, jak szeregowiec „ręką Boga rzucony na szaniec“ brzemię to wziął nie usuwając się i nie szukając wymówki z prostotą żołnierską,

\*) Szymon Askenazy — „Książe Józef Poniatowski“ str. 197.

\*\*\*) Szymon Askenazy — „Książe Józef Poniatowski“ str. 236.



jak wytrawny statysta je dźwignął, jak bohater do końca je doniósł.

A nie było przecież w tym żołnierzu dziedzictwa myśli i zdolności statystów wielkich, nie było w panięciu tem, szkoły i wyrobienia politycznego, nie było w tym Polaku ostatniej rozbiorowej doby, tradycji hartu i cnoty,— była tylko krew szumna, gorąca, był instynkt szlachetny, było najwyższe umiłowanie ojczyzny i rycerskiego jej honoru, była wreszcie jako suma tego wszystkiego owa „*mądrość serca*“, jak nazwał Askenazy treść jego ducha.

Od r. 1810 znalazła się sprawa polska między młotem Napoleona a kowadłem kombinacji politycznych prusko-austrjacko-rosyjskich. Petersburg usiłował wciągnąć Napoleona w konwencję Rumiancewowską, która miała Polaków i Poniatowskiego odstręczyć i odsunąć ostatecznie od orłów Pierwszego Cesarstwa. Z drugiej strony ukazywano rządowi Księstwa Warszawskiego wyraźne nadzieje nowego bytu wzamian za odstąpienie Napoleona. Gotujące się nieuniknione już starcie tego ostatniego z Rosją narażało Księstwo Warszawskie, jako awangardę napoleońską, na najwyższy wysiłek ekonomiczny, na ogromną ofiarę krwi i życia jego mieszkańców i nic dziwnego że w tych warunkach, zwłaszcza nie znajdując w czynach Napoleona ziszczenia narodowych naszych pragnień i rękojmi dla mglistych jego obietnic, wielu przechylało się w stronę, z której wychodziła propozycja odstępstwa i kompromisu.

Adam Czartoryski otrzymał od cesarza Aleksandra specjalną misję pozyskania księcia Józefa i Polski; w instrukcji własnoręcznej cesarza wyluszczone były plany odbudowania Polski, jeżeli Polacy oddadzą się Rosji.

Poniatowski odmówił Czartoryskiemu i nie zdradzając osoby ani szczegółów ostrzegł Napoleona o planie ofensywy rosyjskiej, postanowionej już wtedy na r. 1811. Po paru piśmiennych i bezskutecznych ostrzeżeniach, ruszył do Paryża sam. Napoleon uwierzył nareszcie — Poniatowski powrócił i sprawa rozstrzygnięta już przez niego w zasadzie i nieodwołalnie weszła teraz w wykonanie. Księstwo Warszawskie, Polska i honor polski zostali Napoleonowi wierni.

Dnia 4 czerwca 1812 r. książę Józef Poniatowski po dwumiesięcznej wysiłonej pracy mobilizacyjnej, po ciężkim poprzedzającym ją okresie wyciskania z ojczystego kraju ostatnich środków na tę ofiarę krwi, wyruszył w pole na czele wojsk Księst-



Ks. Józef Poniatowski ranny.

wa Warszawskiego, mianowany przez Napoleona ich naczelnym wodzem, dążąc szlakiem Wielkiej Armji pod Moskwę.

Przeszedłszy Niemen pod Grodnem i zamieniwszy tam z nieprzyjacielem pierwsze w tej wojnie strzały, pociągnął korpus polski uszczuplony już rozkazami Napoleona, na Skidle, Szczuczyn do Nowogródka. Ztamtąd, skutkiem ruchów Bagrationa operującego przeciwko niemu, zamiast na Mińsk, ruszył przez Mir do Nieświeża.

Krępowany nieudolnością głównej komendy bawiaącego przy korpusie króla westfalskiego, Hieronima, nękany brakiem żywności i nieregularnością dowozów, topniejący już z trudów i znużenia, nie mógł w tym okresie korpus polski przeszkodzić wymknięciu się Bagrationa. Napoleon, początkowo niezadowolony z Poniatowskiego, ofiarował mu jednak czasowo, dowództwo naczelne prawego skrzydła Wielkiej Armji (po Davoust'cie), a księżę doprowadziwszy wojsko przez Słuck, Dudzicze i Ihumeń do Mohylowa, zatrzymał się tam na dwutygodniowy konieczny wypoczynek. Z Mohylowa forsownym pochodem na Szklów i Romanów ruszył pod Smoleńsk, gdzie połączył się z Wielką Armią w połowie sierpnia. Nazajutrz zaraz, uszczuplony znów do liczby 15 tysięcy (po odkomenderowaniu dywizji Dąbrowskiego), korpus Poniatowskiego przyjął udział w szturmie Smoleńska. Przez dzień cały i sześć nocy walczył pod wodzą księcia z nadzwyczajną brawurą, a z brzaskiem pierwszego dnia udał się pierwszy do twierdzy. Napoleon, przed dwoma dniami przyjąwszy księcia potokiem wymówek za opóźnienie, teraz starał się najzaszczytniej ten V korpus Wielkiej Armji wyróżnić; rozdawał krzyże,



Sypialnia ks. Józefa w Jabłonie.

osobiście, z naciskiem pełne uznanie Poniatowskiemu wyrażał.

Dalej szedł już książę przodem, osłaniając wciąż awangardę Murata z narażeniem własnego życia. W wielkiej bitwie pod Borodinem oddany prawie na stracenie, bił się z szalonym impetem, rozważą i szczęściem 14 września, poczem z przednią strażą wkroczył do Moskwy. Zaraz wysunął się z niej za ustępującymi siłami rosyjskimi i pod Czarykowem, przy trakcie kałuskim, stoczył z nimi na własną rękę szczęśliwą sześciogodzinną potyczkę. To był koniec ofensywy napoleońskiej w tej fatalnej kampanji. Wielka Armja wnet rozpoczęła odwrót.

W odwrocie tym strasznej pamięci, zaraz na początku, pod Woronowem, uratowała przytomność Poniatowskiego od zupełnej zagłady skrzydło Murata — zginął tam szef sztabu generał Fiszer, korpus polski liczył już cztery zaledwie tysiące ludzi. Te cztery tysiące walecznych szły teraz wciąż na tyłach osłaniając swemi pierściami resztki dogorywającej w mrozach i śniegach Wielkiej Armii. Codzień walka z pościgiem, codzień beznadziejne ofiary z rzedających szeregów, codzień rozpacz. I codzień też staje książę Józef na samym przodzie, w najgorętszym ogniu. Kule oszczędzają jeszcze bohatera. Kontuzjowany pod Wiazmą skutkiem upadku z koniem w skoku, dalszą drogę odbywa książę w powozie z rannym Arturem Potockim. Dobiwszy do Smoleńska prosi Napoleona o odwolanie z tylniej straży niedobitków polskich. Zostało ich już tylko 600 ludzi piechoty i 30 jeźdźców, ale cała artylerja z 45 działami! Nie stracił ani jednego sztandaru bohaterski wódz!

Na zamierzonym stawie pod Kraśnem następuje spotkanie z Napoleonem.

A potem przychodzi już lodowe piekło Berezyny. Cudem wydostaje się z niego książę, śpieszy do Wilna, stamtąd do Warszawy, gdzie stanął w połowie grudnia, w 3 dni zaledwie po postoju Napoleona w Angielskim hotelu. W dwa tygodnie potem stanęły pod Błachą resztki polskiego korpusu — paruset walecznych wynędzniałych jak cienie, ale z całą artylerją, ze wszystkimi sztandarami!

Rok 1812 skończony.

Zaczyna się ostatnia, najcięższa polskiego wodza Golgota — honor polski niesie Poniatowski pod Lipsk, by tam w Boże oddać go ręce — nieskalany odstępstwem, jasny wiernością do ostat-

ka w złej doli, uczciwy, rycerski!..

A poniósł go wbrew opinii przewodników narodu i większości własnego społeczeństwa — wypadło mu pójść prawie w pojedynkę z garścią żołnierza zaledwie i zerwać ze wszystkimi co ku innej ciągnęli go decyzji, a ciągnęli go — wszyscy.

Nie pierwszy to raz w życiu wybierać musiał Poniatowski między drogą honoru a porywami serca, albo przestrogi rozumu. Ale dawniej było to łatwiej. Teraz został sam i w tym właśnie była jego tragedia.

Ale nie ugiął się. „Jego piękna i wysoka dusza — pisze Askenazy — już w tym punkcie dochodząc swego szczytu i kresu, zgoła już oczyszczona od wszelakich lichszych przymieszek, jak gdyby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnym ciśnieniem dziejowym, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastku, doszła tem samem do zupełnego, doskonałego utożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dlatego to



Grobowiec na Wawelu.



właśnie w tym instynktownym odruchu woli, był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Ry-cerz bez skazy z zawieruchy dziejowej 1812 roku,

ocalił polską siłę moralną — najwalmniejszą, najre- alniejszą, jak świadczy o tem bieżący czas, naszą potęgę.

Oto dlaczego wszystkie serca polskie po wiek wieków przy trumnie jego przyklękać winny!

## ZMARTWYCHWSTANIE.

Kiedy na Krzyżu kona Pan  
Któż krzepi Go — pociesza?..

Tylko Bolesna Matka — Jan  
Słakanych niewiast rzesza...

Na Ziemię całą pada cień  
Grozy zastoną czarną...

Dziś — Zmartwychwstania nadszedł dzień,  
Pod Krzyż się wszyscy garną!..

Do Twych Świałanych, Chryste, stóp  
Kaźde się czoło nagnie,  
Bo kaźdy w duszy nosi grób,  
I Zmartwychwstania — pragnie...

Wielka — tajemnic pełna — noc  
Ta — Zmartwychwstania — chwila...  
Przez Twoją — Panie — Boską moc  
Grób się, jak kwiat — rozchyła...

I z Grobu Pan — nad kwiaty — kwiat  
Do Niebios się podnosi...

U Grobu Twego cały świat  
O Zmartwychwstanie — prosi.

Tu z Magdaleną płakać wraz  
Przyjdzie i lud Twój cały  
Nad Grobem — kędy pusty głaz,  
Na głazie — całun biały...

I z Magdaleną wierny lud  
Szukać Cię nie przestanie,  
Aż przez Miłości słodki cud  
Przemówisz doń — o Pani!..

I z Magdaleną czołem w pył  
Twój korny lud uderzy...  
Ty — Zmartwychwstania — dodasz sił —  
Bo kocha on — i wierzy...

BOŻYMIR.

## KONTUSIK CHRZESTNY.

Mimo zawieruchy dziejowej, kraj nasz posiada względnie sporo pamiątek historycznych, dotyczących wybitnych, a drogich nam osób.



Natomiast owe codzienne pamiątki domowe, materiał do odtworzenia sobie życia powszedniego ginących pokoleń, marnuje się bezpowrotnie i zaciera się zupełnie ślady tego życia w jego drobnych, codziennych przejawach.

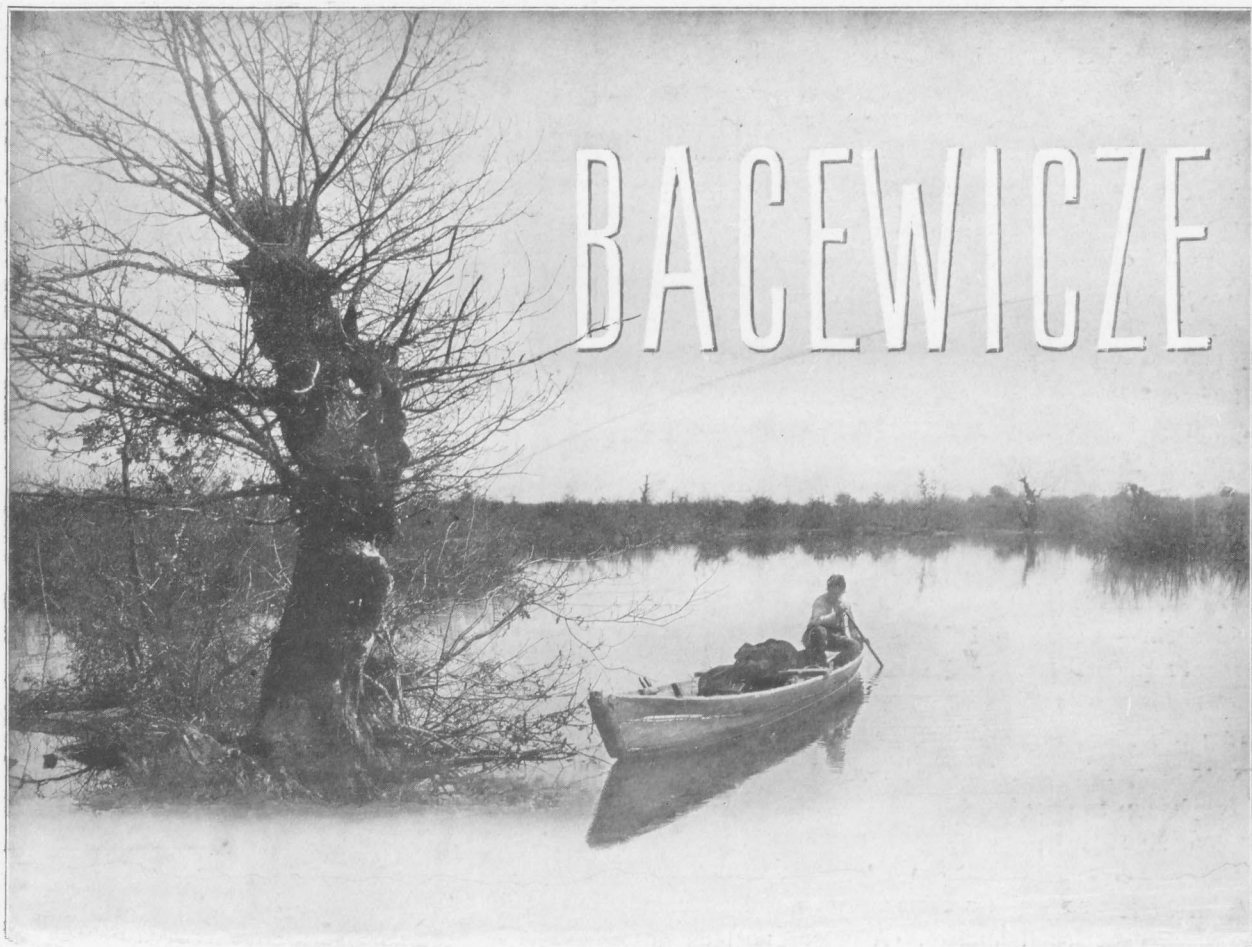
Zasługuje więc na uznanie rodzina, która ze czcią przechowuje te cenne wspomnienia po pradziadach, gromadzi bowiem materiał do historii kultury naszego narodu.

W rodzinie Leskich h. Ostoja z taką czcią przechowuje się biały jedwabny kontusik chrzestny, w który ubierano dzieci tej rodziny do chrztu, uważając to za niezbędną tradycję rodową, i nie dziw, bo w kontusik ten było ubierane dziewięć pokoleń tego rodu, bo od 1670 roku, do dni ostatnich.

Kontusik jest z białej jedwabnej materji, obszyty złotym galonikiem, na lewej stronie ma z takiegoż galonu krzyżyk. Należy też do niego biały czepeczek, obszyty również galonikiem.

Rękawki kontusika stanowią rozcięte wyloty, związywane amarantowemi wstążeczkami.

Ostatni raz kontusik był użyty do chrztu Antoniego i Stefana Leskich, synów p. Michała Leskiego, właściciela majątku Błoto pod Łodzią w 1900 roku.



Z okolic Bobrujska.

**K**to chce podziwiać dzikie, a piękne lasy dziewicze, gdzie żyją niedźwiedzie, przebywają stadami łosie, wilki i dziki, gdzie na strumieniach leśnych napotyka się jeszcze siedliska bobrów, a stuletnie dęby i sosny szczytami zda się podpierają firmament, — ten niech jedzie na Białą Ruś, hen za Bobrujsk. Tam przeszło od dwóch wieków osiadł ród Niezabytowskich, odkupiwszy w końcu XVII wieku od Radziwiłłów, ogromne dobra w ówczesnym starostwie Lubowickim. Przejeżdżając przez te niebotyczne, imponujące wprost lasy dębowe, bukowe, sosnowe, ciągnące się dziesiątkami wiorst, gdzie zdawałoby się nie doszła jeszcze stopa ludzka, odczuwamy poezję puszczy. Stoi

Pałac w Bacewiczach  
(własność p. Karola Niezabytowskiego).

ona potężna, strojna, tajemnicza, zdając się nagrawać z człowieka. Lecz człowiek, najdoskonalsza na świecie istota, i tu rozwinął swą potęgę twórczą, wykorzystał bogactwa i siły przyrody, rozniecając ognisko cywilizacji wśród puszczy. A więc i tu warczą koła młyńskie, słychać zgrzyt tartaków,

gwiżdżą lokomobile... Zbliżamy się do Olsy i Bacewicz, majątków p. Karola Niezabytowskiego, posła do Rady Państwa z gubernji Mińskiej. Olsa dawniej hrabiów Zabiellów, obecnie własność pana Karola Niezabytowskiego imponuje nam swoim pięknym pałacem z końca XVIII wieku, malowniczo rzuconym nad rzeką Olsą (przyływ Berezyny). O 2 wiorsty od Olsy poło-



zone Bacewicze, jeszcze przed 15 laty cicha wioska wśród lasów, stały się dziś osadą fabryczną, kipiącą życiem.

Obok postępowego gospodarstwa znajduje się tu szereg zakładów przemysłowych: gorzelnia, młyn, tartak, cegielnia, fabryka dachówek i drenów; wszystko poruszane parą lub elektrycznością. Olbrzymie lasy stały się podstawą całego przemysłu. Część drzewa obrabia się w miejscowym tartaku, część spławia rzekami: Olsą i Berezyną do Bobrujska i dalej, aż do portów Bałtyku lub morza Czarnego. Pan K. Niezabytowski jest pierwszym właścicielem obszarów leśnych, który potrafił oswobodzić się od monopolu miejscowych kupców leśnych — żydów, i nawiązał bezpośrednie stosunki z firmą belgijską Mercier & Co, oddając jej w eksploatację lasy dębowe, położone przy zbiegu Berezyny i Świsłoczy.

Razem z rozwojem ekonomicznym postępują Bacewicze i w kulturze. W 1909 roku stanął w Bacewiczach wspaniały pałac w stylu odrodzenia, zaopatrzone we wszelkie nowoczesne udogodnienia. W 1911 roku p. K. Niezabytowski postawił w Bacewiczach własnym kosztem murowany szpital, jakim pewnie niejedno miasto nie może się poszczycić. Jest on zbudowany w lesie sosnowym, w suchej miejscowości z zastosowaniem udogodnień nowoczesnego szpitalnictwa. A więc, posiada on



Bacewicze.



Stary lamus w Bacewiczach z XVIII wieku.

salę operacyjną dla chorych zakaźnych, pralnie, wanny oraz budynek dla lekarza i felczyerów.

Nowy most, w tymże roku zbudowany, łączy szpital z osadą i zabudowaniami dworskimi.

Bacewicze, przez samo istnienie — tak wzorowo utrzymanego szpitala, mają przyszłość przed sobą wielką: już teraz zwracają na siebie uwagę szerszego ogółu; w najbliższym zaś czasie mogą stanąć w szeregu zdrowotniejszych miejscowości kuracyjnych. Tembardziej można powyższe uważać za pewnik, gdyż właściciel majątku p. K. Niezabytowski jest człowiekiem prawdziwej kultury, on więc sam przyczynia się już oddawna do rozwoju — Bacewicz, tak pod względem ekonomicznym, jak i filantropijnym.

O 5 wiorst od Bacewicz, przy zaścianku szlacheckim Zalesie, został poświęcony jesienią 1911 r. kościółek katolicki, przy uroczystej konsekracji którego asystowało przeszło sześciuset wiernych z Bacewicz i najbliższych zaścianków szlacheckich.



Z okolic Bobrujska.

## GÓRA GIRNICKA.

O pieśni gminna, ty arko przymierza  
 Między dawnymi i młodszymi laty,  
 W tobie lud składa broń swego rycerza,  
 Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.

A. Mickiewicz.

Słowa te wieszczą naszego, odzywają się wśród lasów Żmudzi, ciągnących się do granic i po za granice Kurlandji. Tu, wśród świerków, sosen, pomieszanych z liściastem zadrzewieniem, grunt układa się falisto, tworząc pagórki i wyniosłości mniejsze lub większe.

W ustroni, przypominającej owe uroczyska i kurhany pogańskie, ponad innymi wznosi się szczyt góry Girnicką zwanej, z której roztacza się przeszłyczny, rozległy widok.

W dnie pogodne na nieboskłonie, widoczną jest z jej wierzchołka wieża kościoła w mieście o 3 mile odległym w Szawlach — a z przeciwnej strony, kościół w Kurtowianach, w której to wsi znajduje się wspomniana góra.

Dziwna melancholja i bezmierny smutek ogarnia duszę, wśród tych lasów — puszczy dawnych, powstają widma przeszłości, tej przeszłości Kiejstu-

tów, Witoldów, Jagiełłów i krwawych krzyżackich napadów. Obrazy te, odzywają w niepochwytłych myślach przed zapatrzoną w dal źrenicą, piszą nie-startem zgłoskami: „Wspomnienia“.

Dawne legendy snują się, opowiadają je chętnie lud. Słuchajmy tej opowieści przekazanej przez praojców—synom...

Cofnąć się musimy w owe wieki, kiedy pogaństwo w całej sile było wierzeniem tutejszych mieszkańców, a naokół rozciągała się niemal niedostępna puszcza.

Wszędy lasy, odłamy skał pozostałych z epoki kamiennej, a wśród nich, źródła, strumyki szemrzą po mchu zielonym, łączą się w jeden wartki strumień.

Puszczyc nad smutną krainą zawodzi i wicher w czasie nocy zimowych szaleje — łamie wyniosłe szczyty drzew.

Wśród tego otoczenia, leżała osada rozległa, zamieszkała przez lud olbrzymów. Nikt nie śmiał



zbliżyć się do tego siola, obawa spotkania jednego choć z tych nad zwykłą miarę wyrosłych mieszkańców, trwogą przejmowała serce, okrażano knieje te zdaleka.

Wieczorem, po zachodzie słońca, dawał się słyszeć śpiew, płynący snąc z potężnych piersi, a nuta jego wojenna odbijała się o drzewa, o odłamy skał, oddając ją echu, aby skonać w oddali.

Głównym dowódcą, kierownikiem całej tej osady był Girnik. Wzrostem przenosił o głowę swoich współbraci; siła jego nadzwyczajna znaną była przez wszystkich, a kiedy w gniewie podniósł głos, drżały szczyty drzew i ziemia drżała. Ptactwo przerażone, przerywało rozpoczęty śpiew, uciekało w głąb lasów.

W sercu jednak tego niedostępnego, srogiego olbrzyma, dwa potężne uczucia gorzały, miłość dla ziemi rodzinnej i dla matki staruszki.

U nóg macierzy swojej zasiadał syn, po znojach dnia i słuchał opowieści o dawnych dziejach.

Słowo matki było dla niego prawem, życzenie rozkazem. Na prośbę jej łagodniał w wydaniu zbyt srogiego wyroku, a zaciśnięte pięści, gotowe do wymierzenia kary, roztwierały się do uścisku, usta, aby wyrzec słowo przebaczenia.

Nieraz widziano, jak przez trzęsawiska i moczary Girnik niósł matkę w puszcze, aby odechnęła balsamiczną wonią rozwijającej się natury.

Pierwszy podmuch wiosenny zawiął ponad Żmujdzką ziemią.

Chór ptactwa ciągnącego z południa rozgłośnie się odzywał. Całe gromadki skrzydlate powracały do porzucanych gniazd, zniszczonych przez zimę, naradzały się nad naprawą lub wyszukaniem innych mieszkań dla zakładającej się rodziny.

Las stroił się w cudną szatę zieleni, ożywiał głosami różnego dzikiego zwierza.

Lecz wśród gwaru mieszkańców kniei jednego wiosennego wieczoru dał się słyszeć chrzęst broni i nawoływanie zmieszanych głosów.

Zdumieni olbrzymi wysłali gońca na zwiady, aby zbała przyczynę tych niezwykłych odwiedzin. Przyniósł on im rychło wieść o licznym, silnie uzbrojonym nieprzyjacielu, który z zachodu ciągnął ku tej stronie. Zdala świecą się zbroje, białą płaszcz białe z czarnymi znakami.

Przerażenie i wściekłość, zawrzały w sercach olbrzymów. Zwyciężyć lub zginąć było ich hasłem. Ufni w siłę ramienia i odwagę wodza, gotowali się do walki, uzbrojeni w łuki, strzały zatrute, maczugi i kamienne proce.

Zabrzmiały trąby wojenne, ostatnie spojrzenie wojowników objęło rodzinne ukochane chaty, stało pożegnanie zebranych matkom, żonom, siostrom i dzieciom.

Na czele hufców stał w szyku bojowym wódz Girnik. Nad czołem zawisła chmura gniewu i niepokoju, a oczy szukały wśród niewiast, przedmiotu swego ukochania.

Spostrzegł postać wyniosłą kobiety, okrytej szarą płachtą, na znak żałoby, wspartą na kij. Szła posuwając się zwolna ku wojownikom. Girnik z miłością dziecka do nóg jej przypadł. „Matko, szeptały pobladłe usta, błogosław na bój, na śmierć lub zwycięstwo“.

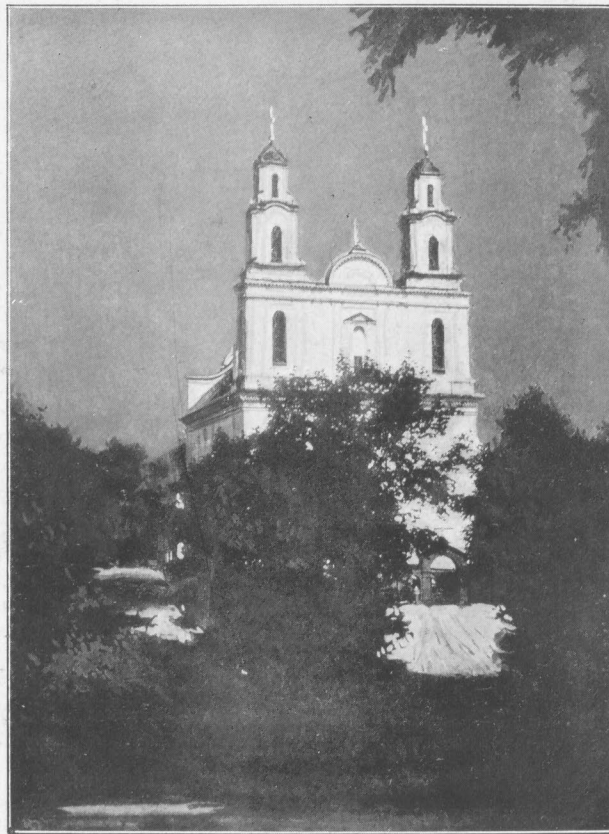
Ku niebu wzniosły się oczy niewiasty, bielmem pokryte, wyciągnęła ręce, kij precz odrzuciła, w ramiona syna padła:

„Idź synu! — wyrzekła szeptem — daj życie za ziemię tę, co cię zrodziła. Może już nigdy nie zobaczę cię, idź niech cię strzegą bogi nasze.“

Lecz jeżeli zginiesz!.. z krwi twojej powstanie mściciel, który cię pomści!“

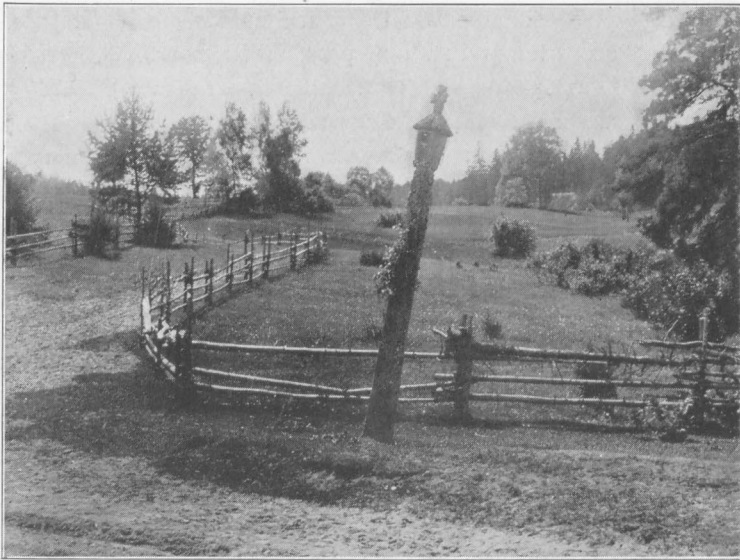
Wojenne hasło powtórnie zabrzmiało... Girnik wyrwa się z objęć matczynych, dąży, gdzie go woła powinność, okiem łzą zasłanym żegna ukochanie swoje i chatę ojcowską.

Niewiasty podtrzymują splakaną i omdlałą z bólu matkę Girnika. Zastęp olbrzymów ginie w puszczy...



Kościół w Kwitowianach, — widok przy świetle księżycy.  
(fot. hr. St. Zyberk-Plater).

. . . . .



Droga do góry Girnickiej, — Kapliczka przydrożna.  
(fot. hr. St. Zyberk-Plater).

Za lasem na szerokiej polanie, nieprzyjacieli rozłożył się obozem. Nieprzeliczone szeregi roją się jak wielkie ruchome mrowisko. Zdała słyhać łomot drzew. Padają z jękiem pod uderzeniem siekiery, torując drogę spieszącym olbrzymom.

Jedna siła pięści, odwagi obrońców swej własności, zagrożonej najeźdźcą, druga przebiegłości najeźdźców, posiadających stalowe pociski.

Zwarły się, zawrzała bój, dzień cały trwała nierówna walka.

Wśród nieprzyjaciół, szeregi się przeredziły.

Ziemia pokryta trupami, krew zlała świeżo zieleniejące się — wijące się źdźbła traw.

Olbrzymi walczyli nieustraszenie, ale o ileż szczuplejszy był ich zastęp. Wszyscy polegli.

Jeden pozostał Girnik...

Nieprzyjacieli dojrzał go. Okrzyk tryumfu zabrzmiał wśród szeregów.

Do zupełnego zwycięstwa, po-

trzeba im ująć żywcem wodza, jako łup drogocenny.

Ci ludzie, co karłami się zdają, wobec wyniosłego wzrostem syna puszczycy, biegną, urągają nieszczęśliwemu, przygotowują niewolnicze pęta.

Lecz jeszcze za wcześnie!..

Girnik stoi wśród poległych braci, towarzyszy broni, zda się zmartwił boleścią przeniesionej klęski.

Nagle dzieje się rzecz nieprzewidziana. Olbrzym poznaje grożące mu niebezpieczeństwo, rozpaczonym ruchem obejmuje sterczący w pobliżu zrąb skały, wyrwa z ziemi i rzuca na zbliżającą się gromadę wrogów.

Złom rzucony w przestrzeń spada, rozpryskując się i krusząc w kawały, kawałki, atomy! Zamienia się w deszcz kamieni, którym zasypuje żywych i umarłych; zabija, miażdży. Giną jedni, drudzy uciekają w popłochu, Ranni, zabici, tworzą zwalisko ciał bezkształtnych.

Nieprzyjacieli cofa się, pierzcha w rozpysce.

Cicha noc wiosenna splywa na to straszne, smutne cmentarzysko. Spokojny księżyc w peł-



Jezioro Szirwa, — (fot. hr. St. Zyberk-Plater).



Góra Girnicka, krzyż wystawiony 7 maja 1905 roku.  
(fot. hr. St. Zyberk-Plater, w dzień poświęcenia).



ni kryje się za chmurą, lecz po chwili wypływa na lazuruwe ugwieżdżone niebo, patrzy struchlały na grozę rozpościerającego się obrazu.

Na przesuwających się chmurach gnanych wieczornym wiatrem rysują się postacie ludzkie, odbicie walki stoczonej na ziemi. Duchy wojowników idą do ciemnych odchłani...

Jęk, skarga płynie ze skrwawionych piersi.

Wokoło „zniszczenie“...

Po nieludzkim wysiłku, Girnik chwieje się. Oczy krwią nabiegłe patrzą bezmyślnie, z ust, nosa, płynie krew. Postać silna chwieje się, jak to drzewo podcięte siekierą, ale jeszcze niewyrwane z korzeniem z ziemi, która go więzi, jak ten dąb wiekowy, Andżulis, w którego konary uderzył piorun, strzaskał jego moc...

Olbrzym przykłęka na jedno kolano, rwie szmaty z grubej koszuli, przedzonej ręką matczyną.

Szmatkami temi, obwiązuje otwarte, piekące rany. Zmęczone nadludzkim wysiłkiem płuca chłoną w siebie ożywczy podmuch wiatru idącego z leśnej gąszczy.

Wszyscy swoi zginęli, jęczy mu w sercu pieśnią grobową — pozostałeś sam, jak oderwana gałąź od pnia rodzinnego; samotne piskłę, wyrzucone z gniazda jastrzębia. Myśl jednak mu jest pociechą, że się nie poddał, nie oddał w jarzmo niewoli potężnej prawicy.

Czuje się jednak niewymownie znużony, radby odpocząć. Spogląda ku zieleniejącej się kniei; gdyby tam dojść, nie widzieć ciał umarłych, nie czuć zapachu krwi...

Lecz cóż to za światło ukazuje się z poza drzew? Rozlewa na nieboskłonie, chmura dymu zakrywa jasny księżyc i blade gwiazdy!

Zrozumiał Girnik nareszcie... To jego wieś rodzinna płonie, a w niej mieszka ukochana matka. Nieprzyjaciel w odwrocie, zapalił sioło — nie wziął w niewolę ciała, ale zabił mu serce!

Z wysiłkiem czołga się wódz do pobliskiego strumyka, pije wodę ożywczą, w niej rany obmywa, zbiera ostatnie siły i biegnie, biegnie bez tchu ku rodzinnej siedzibie.

Już widna wioska i chaty. — Niewiasty, dzieci, zbite w gromadę wylękłe uciekają do bliskiego lasu, unosząc resztę dobytku i życie.

Girnik nie widzi nic, nie pyta o nic. Myśl jego, oczy, tam tylko, tam przy chacie rodzinnej.

Dopada jej, otwarte drzwi, zgrab się dopala — na prógu leżą martwe zwłoki macierzy!

Twarz zwrócona ku niebu, skarga na ustach, zastygła, obie ręce przyciskają serce, które — przecierpiało — przestało bić... zastygło.

W bezsilnym bólu pada Girnik u stóp ukochanej rodzicielki, obejmuje je, okrywa pocałunkami, woła:

„Matko moja, jedyna, zbudź się“...

Echem odpowiadają mu drzewa — „Zbudź się“ i odgłos idzie ku puszczy. — Daremnie. Ona się już nie zbudzi!..

Pożar się wzmaga — uciekać należy. Z powodzi iskier i dymu unieść należy drogie szczątki.

Olbrzym zarzuca na plecy bezwładne ciało i pędzi po przez płomienie ku lasowi, a krok każdy popycha go daleko naprzód, bo krok olbrzyma to przestrzeń milowa.

Buty jego napełniają się ziemią, coraz trudniej staje się przedzieranie przez gąszcz krzewów, oplątujących pnie drzewne. Siły coraz więcej słabną.

Dowlókl się nareszcie nieszczęśliwy do miejsca, gdzie wznosi się najwyższy pagórek wśród całej okolicy i tu składa ciało ukochanej matki. Sypie ziemię i rzuca gałęzie przez dnie i noce na kurhan, a jak chce mieć podanie, ziemię tę nosi w olbrzymich butach.

Posiłkiem mu korzonki leśne i świeże soczyste jagody, orzeźwieniem woda, z wytrysłego źródła z bliskiej skały.

Usypał wielką mogiłę zwyczajem dawnych pogan, a kiedy utworzyła się góra najwyższa z pośród otaczających wyniosłości, stroi ją w zielone gałązki, w kwiaty lasów i łąk.

Dokończywszy dzieła, znużony i wyczerpany olbrzym, siada na szczycie mogiły i pozwala wybuchnąć tłumionemu dotąd żalowi.

Łza po łzie spływa mu z oczu, a wyciska je bezgraniczny żal, ból złamanego serca.

Łzy płyną bez przerwy, wyłabiają, spływając jedną część góry, u stóp której tworzy się olbrzymie jezioro. Górę tę, po dziś dzień zowią Girnicką, a jezioro Bulańskim.



Typ żmujdzki.  
(fot. hr. St. Zyberk-Plater).

Od powyżej opisanych zdarzeń przeszły wieki. Ponad smutną ziemią żmudzką powiały wichry i burze niszczące.

Zaciemniał się horyzont i rozjaśniał światłem prawdziwej wiary. Przeciwne moce zaciążyły nad tą częścią Litwy.

Ząb czasu zniszczył zabytki, rozwalił pamiątkowe gmachy. Zmieniał się porządek rzeczy.

Góra owa, pamiętna mogiła zawsze zielona, bo latem i zimą, otulona iglastymi drzewami, stoi jako pomnik serdecznej, synowskiej miłości.

Aż oto z za mórz i gór powiał świeży sygnał wiosny. Słońce uśmiechnęło się do ziemi, stało się jasne, promienne, wzbudziło siłę jej rozrodczą.

Ptaki z cieplejszych nadciągnęły krajów.—Gaje rozbrzmiewały wesółym śpiewem.

Z lasów płynął szept świeżo rozwitych liści.

Z pól, z łąk woń kwiatów i traw rozzielenionych. Woniała ziemia urodzajna, a z niej kiełkowały rostki rozpekłych nasion,—przyszła nadzieja rolnika.

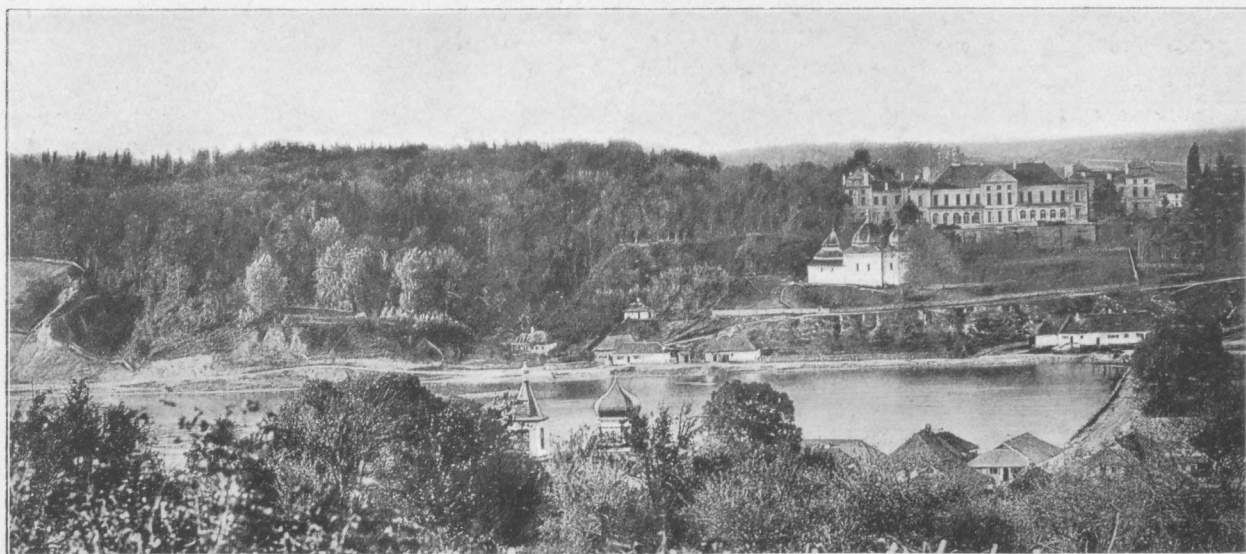
Na Girnickiej górze stanął wysoki na 6 sążni, wyciosany z dębu, króla żmudzkich lasów—krzyż. Zapanował nad okolicą, widnieje z dala.

Dnia 7 maja 1905 roku, licznie zebrana ludność okoliczna przytomną była poświęceniu tegoż krzyża, który na pogańskiej mogile wyciągnął ramiona ku modlącym się w kornej postawie u stóp Ukrzyżowanego. Modlitwę ich niósł ku niebu ciepły powiew wiatru, szmer jej rozpląwał się w powietrzu.

I Chrystus po modłach skłaniał głowę ukoronowaną cierniem znów ku dzieciom swoim—zdawał się mówić wejrzeniem:

Przyjdźcie do mnie wszyscy którzy cierpicie, a ja was pocieszę.

MARJA KACZKOWSKA.



## WIŚNIOWIEC.

W odległości dwudziestu dwóch wiorst od Krzemieńca, po obydwóch brzegach Horynia rozłożyło się na skałach i ich zboczach malownicze miasteczko Wiśniowiec; stanowiło ono niegdyś ognisko ogromnych włóci książąt Wiśniowieckich, złożonych oprócz Wiśniowca jeszcze z dziewięciu miasteczek i stu pięćdziesięciu wsi. Ostatni z tego rodu Michał Serwacy, wojewoda wileński, zmarł w Mereczu 1744 roku, a po nim dobra jego przeszły na dwie córki—Annę Ogińską, wojewodzinę trocką i Elżbietę Zamoyską, wojewodzinę smoleńską; córka tej ostatniej Katarzyna wniosła w posagu Klucz Wiśniowiecki Janowi Karolowi Mniszkowi. Odtąd przez czas dłuższy Wiśniowiec był

siedzibą Mniszków. W połowie XIX wieku (podług słownika geograficznego w 1852 roku) hr. Andrzej Mniszek sprzedał Wiśniowiec wraz z pałacem i mnóstwem pamiątek księżnej Abomelukowej, a sam zamieszkał w Paryżu, gdzie malował bardzo dobre portrety — odtąd Wiśniowiec przechodził z rąk do rąk, coraz zmniejszając obszar swej ziemi i zawartość pałacu, którego prawie wszystkie meble i obrazy rozeszły się wskutek licytacji po dworach szlacheckich Wołynia, albo po antykwarniach żydowskich i niemieckich. Był więc on potem własnością hr. Włodzimierza Platera, p. Tollego, prezydenta Kijowa, księcia Imeretyńskiego, p. Paszczenki i nie pamiętam już kogo, aż wreszcie przed kilku laty





Biblioteka w zamku Wiśniowieckim.

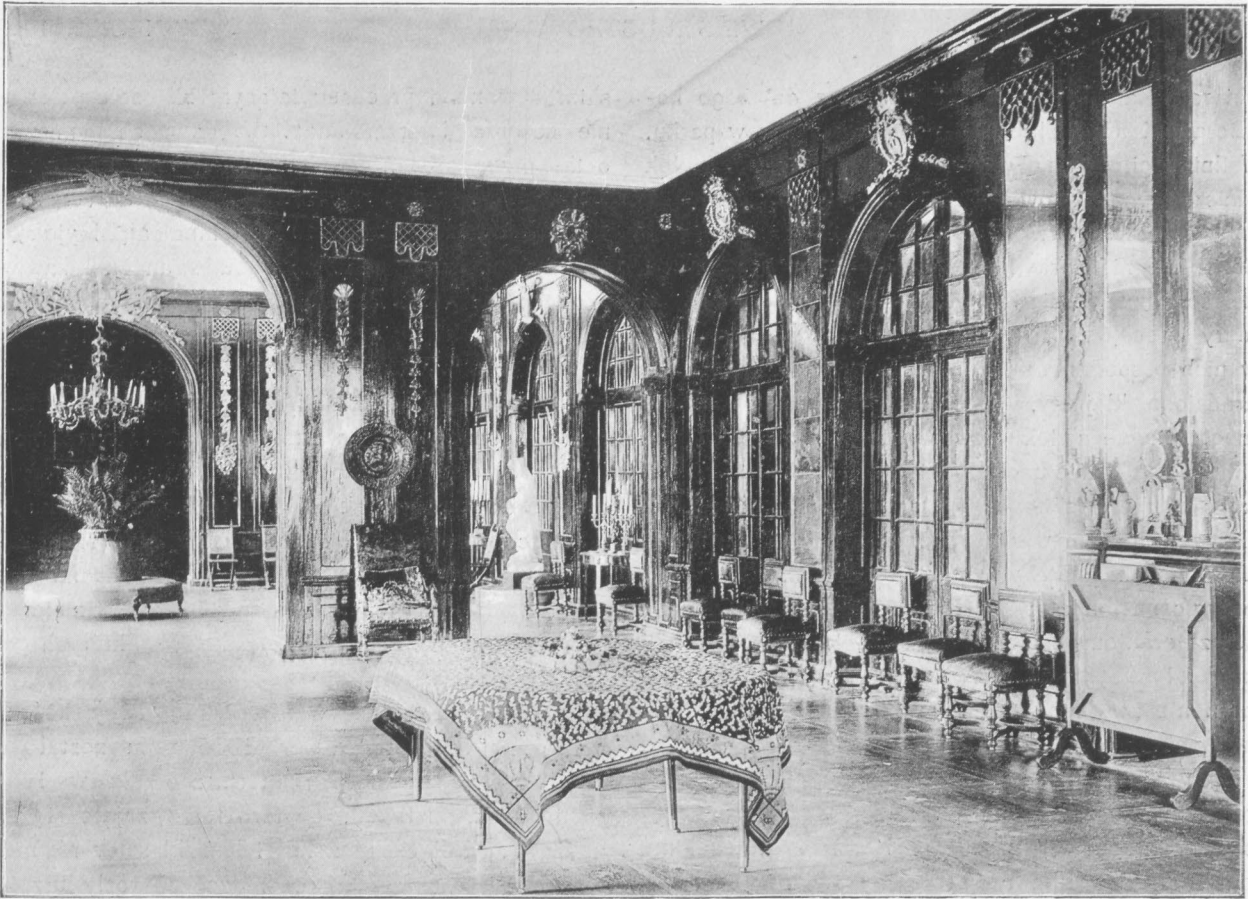
dostał się p. Pawłowi Dawidowowi, szambelanowi Jego Cesarskiej Mości, gubernialnemu marszałkowi szlachty wołyńskiej. Nim przyjdę do tego co w obecnym Wiśniowcu najwięcej interesuje, wspomnę wkrótce o historii jego, bo jużci, jak każde prawie miasteczko w naszych stronach, zwłaszcza zamieszkałe przez potężny ród, Wiśniowiec ma swoją historję. Więc np. w roku 1494 Tatarzy zburzyli Wiśniowiec prawie do szczętu, w osiemnaście lat potem pod niedaleką Łopuszną, Konstanty Ostrogski odniósł nad nimi świetne zwycięstwo.

Około 1576 roku Tatarzy znowu go spustoszyli. Jeremiasz Wiśniowiecki, wojewoda ruski, syn Michała, wznosił kościół i klasztor Karmelitów, przebudował i umocnił zamek. Po śmierci króla Michała Wiśniowiec przeszedł do młodszej linii Wiśniowieckich; w 1672 roku zamek wskutek zdrady żydów został zdobyty przez Turków, przyczem wszyscy, którzy w zamku szukali schronienia, zostali w pień wycięci (słownik geograficzny XIII).

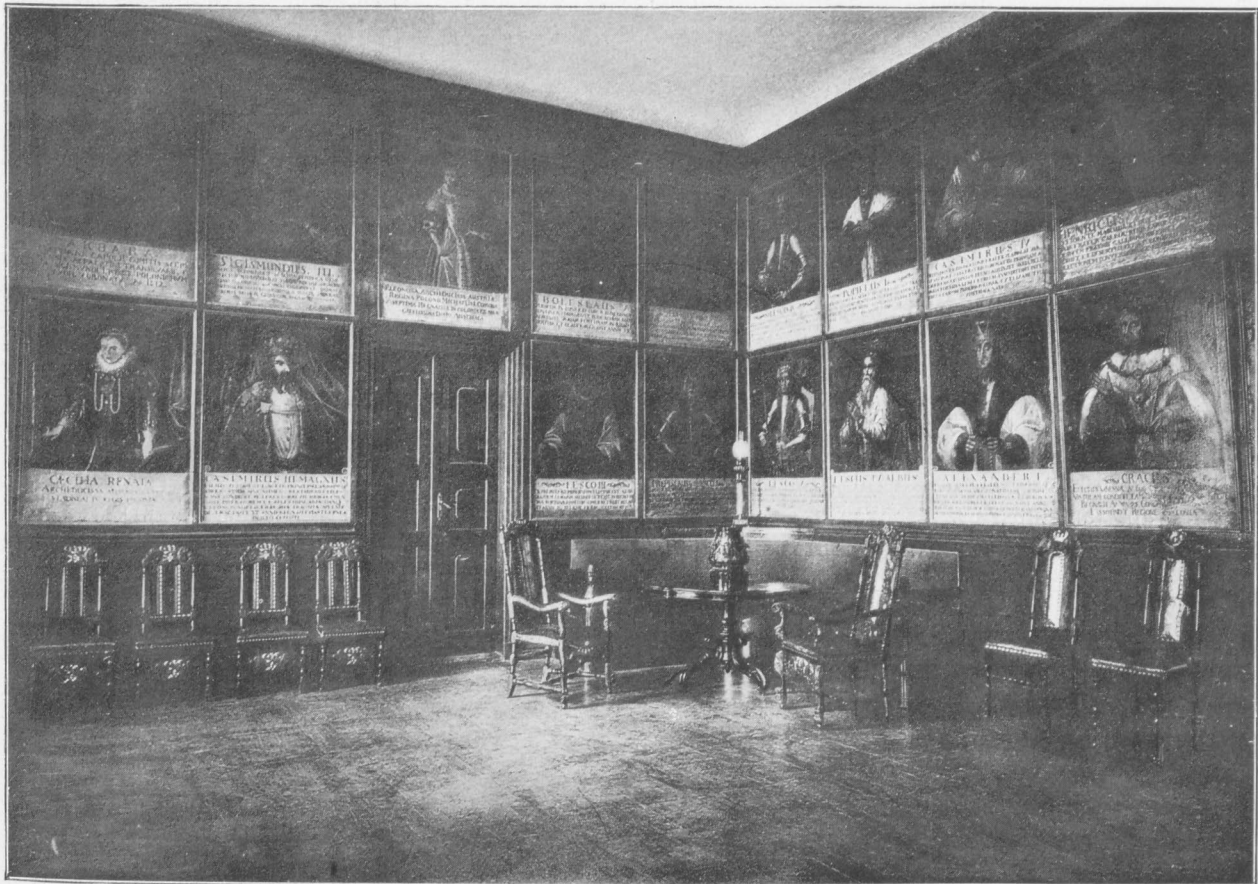
Główną ozdobę Wiśniowca stanowi obecnie ogromny pałac, jeden z niewielu w naszych stronach całkowicie i prawidłowo stylowy. Wzniesiony został, zamiast poprzedniego zamku, około 1720 roku przez ostatniego z Wiśniowieckich w surowym i poważnym stylu Ludwika XIV. Obok pałacu roz-

legły, bo więcej niż trzysta mórg zajmujący park, założony przez sławnego niegdyś ogrodnika Miklera. Pałac wewnątrz, wskutek tylu katastrof, jakie w ciągu pięćdziesięciu ostatnich lat nań spadały, stracił był ogromnie dużo i obecny właściciel otrzymał go w stanie wielkiego ogołocenia. Jeżeli dzisiaj pałac Wiśniowiecki znowu jest zamieszkały i odwiedzany, jeżeli nie świeci gołymi ścianami, jeżeli do niego wróciła niejedna dawna pamiątka, zawdzięcza to obecnemu swemu posiadaczowi, który będąc Rosjaninem, jako człowiek bezstronny, ludzki i po europejsku wykształcony, nie tylko nie niszczy śladów innej niż własna kultury, ale je ceni, studjuje i o ile możności przywraca; słuszną więc będzie rzeczą, jeśli mu słów kilka poświęcę.

Paweł, syn Aleksandra, Demidow, odkupiwszy Wiśniowiec, zajął się podniesieniem wspaniałej rezydencji i, co nas więcej obchodzi, zachowaniem pozostałych jeszcze pamiątek oraz zebraniem rozproszonych. Oczywiście to drugie tylko w pewnej części mogło mu się udać. Więc o ile wiem, odkupił cały arsenał broni dawnej, który obecnie zdobi się i klatkę schodową, łóżka w stylu Ludwika XV-go, służące niegdyś królowi Poniatowskiemu i hr. Du Nord (Paweł I, jako następca tronu), karete z XVIII czy nawet XVII wieku, po-



Sala zwierciadlana w zamku Wiśniowieckim.



Sala portretowa królów polskich w zamku Wiśniowieckim.



zbierał starannie posągi Świętych z dawnego kościoła XX Karmelitów i poumieszczał je w parku. Usilnie agitował za uczciwym pochowaniem zwłok Mniszków, Wiśniowieckich, księży i znaczniejszej szlachty, złożonych w podziemiach kościoła Karmelitów, ale nie cerkwi zamkowej. Po zabraniu tego kościoła na cerkiew, a zwłaszcza po jej pożarze mury i lochy kościelne stały pustkowielem, kto chciał w nich gospodarować, więc poniszczono trumny, pokradziono klejnoty, jakie się na trupach znaleźć mogły, same zwłoki powyrzucano na ziemię i walały się w śmieciu ciała książąt i magnatów, wolać o marność tego świata i o pomstę do Boga. Gorszyli się tem wszyscy, rozprawiali głośno i wiele, ale wszystko stałoby dotąd na miejscu, gdyby nie energiczna inicjatywa p. Pawła Demidowa. On zajął się zbieraniem składek, namawiał i przypominał, ułatwiał otrzymanie pozwolenia rządowego na przeniesienie zwłok na cmentarz katolicki, czego dawniej zabraniano i przed kilku tygodniami trzydzieści wozów zabrało z podziemi obecnej cerkwi smutne resztki, a z zamku na rozkaz właściciela towarzyszyła pogrzebowej procesji salwa z ostatnich kilku pozostałych w nim armat dawnych.

Z ogromnego dziedzińca wchodzimy do sieni pałacowej, a z tej do drugiej, w której umieszczone są schody, prowadzące na pierwsze piętro; obie zarówno, jak antykamera na piętrze wykładane są kafelkami starego Delftu, a jest ich 45000. W pierwszej sieni na marmurowej tablicy łaciński napis głosi, że dom ten zwiedzał Król Poniatowski, jadąc do Kaniowa i z powrotem, a także hr. Północy, t. j. późniejszy Cesarz Paweł I. Ściany sieni ubrane są bronią i starymi portretami. Z pokoiów na dole zasługuje na uwagę sala jadalna, ogromna, wykładana buazerjami, ozdobiona bronzami i bronzowymi biustami znakomitych Polaków, zwierciadłami i herbami rodzin spokrewnionych z dawnymi właścicielami i t. p. Podług miejscowej tradycji w czasie pobytu króla Stanisława służyła za salę tronową. Po prawej stronie jest kilka salonów i kilka gościnnych apartamentów urządzonych przez obecnego właściciela podług wymagań nowoczesnego komfortu. Z tych apartamentów piszącemu te słowa najwięcej utkwiły w pamięci: duży pokój Forgacha ze starym kominkiem z czarnego marmuru i ogromnym nad nim archaicznym portretem któregoś z Kazanowskich, a także dobrze zachowanym flandryj-

skim dywanem, przedstawiającym „Wesołe polowanie cesarza Maxymiljana“. Z dawnych pamiątek, o ile przypominam sobie, pozostały w jednej sali buazerja na biało malowana w stylu „Rococo“ i także same meble. Biblioteka, ogromna sala, kryje swe książki w szafach zupełnie zabudowanych i zawieszonych portretami. Sąsiednią salę zajmują portrety królów polskich—nawet takich starych żaden malarz za życia nie widział; są tam Leszkowie, jest Popiel, po którym szczury biegają i t. p. Jako dzieła sztuki nie mają one żadnej wartości, zwróciły tylko moją uwagę ogromem kompozycji i pewnym indywidualizmem artystycznym. Dwa podłużne wizerunki w klatce schodowej przed teatralną salą przedstawiające dwunastu wojewodów, którzy dwukrotnie mieli rządzić krajem w bajecznej historii. Na pierwszym piętrze pokazują także pokoje, w których gościł Paweł I.

Do ogrodu pałacowego dotyka dawny kościół i klasztor Karmelitów. W 1835 roku został on przerobiony na cerkiew, która zgorzała w 1863 roku i stała pustkami, dopiero teraz zajęto się jej naprawą. Połączony z kościołem klasztor również rozpadał się, na ścianach i dachach rosły brzozy i krzewy. W roku bieżącym rozebrano ruiny—pozostała tylko mała część, w której mieszka paroch. Na pochyłości parku znajduje się druga cerkiew, najstarszy pomnik Wiśniowca, w którym, jak chce miejscowa tradycja, odbyły się zaręczyny Maryny Mniszkówny z Samozwańcem. Fundowana przez Wiśniowieckich w 1530 roku, została odnowiona w 1870 roku, a w ostatnich latach po raz wtóry—jak zwykle najniefortunniej—potynkowano ją, pomalowano dach na zielono, zatarto starannie wszelki ślad dawności i ta kilkowiekowa cerkiewka wygląda, jak pierwsza lepsza współczesna robota miasteczkowych cieśli i malarzy. Dziwny tu u nas panuje brak zrozumienia i poszanowania swoich własnych pamiątek. Oprócz tej cerkwi, jest ich w Wiśniowcu dwie, jest także kościół katolicki, fundowany przez Jana Mniszka w 1757 roku. Parafia katolicka znacznie się powiększyła i liczy zgorą 4000 wiernych. Dołączone ryciny dadzą niejaki wyobrażenie o piękności miejsca i pałacu, którym teraz zaczęły się interesować szersze koła miłośników historii i kraju swojego. Kto będzie zwiedzał strony Krzemienieckie, niech i do Wiśniowca zagłębnie, a nie pożałuje fatygi i czasu na to straconego.





Wyprawa na niedźwiedzie.

## POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE.

O godzinie dziewiątej minut 40 wieczorem, wyruszyliśmy we trójkę, t. j. moja żona, brat jej, Alfons Poklewski-Kozielek i ja, z Moskiewskiego dworca w Petersburgu. Nazajutrz o 6-ej z rana stanęliśmy na stacji Zaborja, linii Wołogodzkiej, gdzie już czekał na nas Mikołaj Martjanow, organizator polowania z odpowiednią ilością sanek, niezmiernie niskich, w jednego konia zaprzężonych, w których brak zwykłego siedzenia zastępowało siano w obfitej ilości. Wyciągnąwszy się w nich możliwie najwygodniej, doskonale zabezpieczeni od zimna, ruszyliśmy z miejsca ostrym kłusem, małych, niepozornych koników, których



W kniei. Droga stawała się niemożliwą do przebycia...

wytrwałość przecie zaimponowała mi niebawem, gdyż biegły jednakowo tak w czasie pierwszej, jak pięćdziesiątej wiorsty, a mam przekonanie, że brałyby równie dobrze i setną i następne, aż do upadku, do ostatniego tchnienia.

Od samej stacji poiechaliśmy lasem, rozmaitego wieku i porostu, przeważnie dobrze zwartym, dwudziestokilkoletnim zapustem, w którym stanowczo przeważała jodła z brzezią, rzadka podszysła sosną, osiką, oraz czarną olchą. Od czasu do czasu strzelał w górę wysmukły świerk, albo biało-drzew świecił siwą korą. Minęliśmy pędem kilka wiosek, w których domy przeważnie pię-



trowe, z okrągłaków zbudowane, do połowy zasypane śniegiem, samotne, bez drzew i ogródków dookoła, czyniły szczególne wrażenie martwoty. Zrzadka pies wybiegał na nasze spotkanie, lub wyglądała przez okno senna twarz wieśniaczki. Żadnych ścieżek między domostwami — nawet śladów przed wejściem, słowem cisza najdoskonalsza — senność, wymarcie!

Ujechawszy 50 wiorst, po raz pierwszy zmieniliśmy konie. Lekka przekąska obficie zalana herbatą w jednej z takich chałup i ruszyliśmy dalej, drogą nieustannie wijącą się wśród lasu.

Jałem ciekawie badać biały kobierzec. Mało tropów zajęczych, jeszcze mniej lisich, parę śladów rysia, łosia, oraz kuny leśnej. Zato las coraz wznioślejszy, literalnie zawalony śniegiem.

U nas w najostrzejsze zimy knieja nie przestaje żyć i rozbrzmiewać. Gwiżdżą gile, sikorki, drze się kraska, przekomarza sroka, dzieciół kuje wytrwale, kruk zakracze zdaleka, wrona mu odpowie. Często błysną słuchy szaraków, lub mignie biały zad sarni, a w wyiskrzonym niebie majestatycznie kołysze się jastrząb. Tu cisza, martwota, pustka... Rzekłbyś, zaklęty bór staje, białym spowity całunem, zazdrośnie kryjąc swe tajnie przed promieniami słońca i bystrem okiem człowieka. — Świat zwierzęcy, jakby wymarły, bo rzeczywiście, na cały czas kilkodniowej podróży dwa razy tylko widziałem stadko cietrzewi, malowniczo usadowione na najwyższych brzozech.

A śniegu na gałęziach, konarach, wywrotach, złamach, na wszystkich wogóle wyskokach gruntu tak wiele, że chociaż go wyżej kolan, ma się wrażenie, że większa część białego puchu zawisła między niebem a ziemią w fantastycznych kształtach. Nawet pnie drzew nim oblepione kompletnie. I las białym się staje i z wierzchu, i z boków, i z środka, niepokalanie białym — aż do tego stopnia, że zmęczone wprost tą powodzią bieli spojrzenie — szuka jakiegoś ciemniejszego punktu dla spoczęcia na nim.

Około 12-ej w nocy przy silnym mrozie, odbywszy pełnym ciągiem 140-wiorstową przejażdżkę sankami, dotarliśmy nareszcie do wioski, w której czekał nas nocleg. Nieopodal znajdował się pierwszy barłóg.

Nazajutrz też punktualnie o 5-ej siedliśmy ponownie do sani, i zaraz za wsią wjechaliśmy w las. Wjechaliśmy, raczej wparliśmy się w niego, o normalnej bowiem jeździe mowy być nie mogło. Torował drogę chłop przewodnik, który odkrył barłóg. A nie było to łatwym, gdyż, pomijając śnieg, sięgający koniom po piersi, w którym brnęły naprzód z niestrudzoną energią, pomijając gąszcz taki, iż

ledwie wążutkie sanki nasze mogły się między drzewami przecisnąć — cały las poprostu zasłany był wywrotami i najeżony pniami, wystającymi na sążeń nieraz nad ziemię. Przytem jechało się ciągle z góry prawie prostopadle na dół lub piętro pod górę. Literalnie sanki z jednej kłody wślizgiwały się na drugą, podtrzymywane ztyłu przez chłopów, którzy przywdzawszy narty i rzuciwszy lejce, pomagali koniom, usiłując pojazdy nasze utrzymać w względnej przynajmniej równowadze.

Trzy godziny przeszło trwała ta jedyna w swoim rodzaju przejażdżka, wśród coraz dzikszej i wspanialszej kniei. Przejechaliśmy w poprzek duże jezioro i nareszcie stanęliśmy u celu. Cekał już tam na nas stary Piotr Martjanow, głośny pogromca niedźwiedzi z obnażoną rohatyną.

Zaczęło się też zaraz gorączkowe składanie broni i niebawem ruszyliśmy gęsiego za przewodnikiem, który, jak kot zwinny, obrabując siekierą zwieszające się zbytnio gałęzie, wiódł nas przez tak dziki ostęp, jakiego nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć.

Zbyteczne mówić, co się w sercu mojem działo na myśl, że o sto kroków, a może bliżej — leży niedźwiedzica z piastunem, pierwsza, z którą mieliśmy się spotkać. Rychło lekki kozuszek zaczął mi ciężyc, nogi coraz częściej obsuwały się z pni i wywrotów, po których stąpaliśmy, tchu brakło...

Nagle stary Martjanow odwrócił się i palec położył na ustach. Zrozumieliśmy i odrazu ustały szepty i półgłosem prowadzone rozmowy.

Jeszcze kilkanaście kroków — i oto ujrzałem, jak przewodnik pochyliwszy się nieco, jał palcem coś wskazywać w gąszczu... Spojrzałem w wskazanym kierunku i zauważyłem poprzez gąszcza zwartej jedliny, koronę korzeni ogromnego wywrotu, prostopadle do nas zwałonego, kompletnie oblepioną śniegiem.

Ułożonem było, że żona moja pierwsza strzelać będzie.

— Broń nabita? — spytał cicho Martjanow, a otrzymawszy potakującą odpowiedź, opatrzył rohatynę i zaleciwszy zachowywać najwyższą ostrożność, postąpił jeszcze kilka kroków naprzód.

Gdy śnieg, otrząsiony przedzieraniem się naszym przez gąszcz zapusty — opadł, ujrzałem nagle o parę kroków przed sobą, u stóp wywrotu ciemny otwór łokciowej mniej więcej średnicy.

Jeszcze krok dalej i znaleźliśmy się na małej polance o cztery najwyżej łokcie od legowiska.

Szybko rozstawił nas stary — żonę po środku wprost wylotu, szwagra na prawo, mnie cokolwiek na lewo.

W chwili, gdym stawał na wskazanym miejscu



Pierwsza moja niedźwiedzica.

z oczami utkwionemi w ciemne gardło barłogu, zdało mi się nagle, że w niem coś drgnęło. Istotnie—zamajaczyło ucho krótkie, kudłate, czujne, potem drugie... za niem szeroka czaszka i oto błysnęło oko. Małe, ale tak bystre, tak bardzo złośliwe, że mimowoli ścisnąłem sztucer.

Niedźwiedzica, najwidoczniej obudzona szmerem — ostrożnie wychyliła głowę, wyjrzała z legowiska i spostrzegłszy niebezpieczeństwo, szybko ukryła się w jamie... Lecz nie ze strachu bynajmniej!

Znowu zarysowały się uszy, ale nie ciekawie już podniesione, jak poprzednio, tylko skulone, tak jak u konia, kiedy ugryźć pragnie. Zabłysły oczy wściekłe, zielone, niczem szmaragdy. Wynurzył się pysk rozwartý nieco, potem kark ogromny, kudłaty, pierś... Zaczem łapa z pazurami ostrożnie wsparła się o brzeg jamy.

Nie było wątpliwości — zwierz gotował się do ataku...

Wiadomem ogólnie, że niedźwiedź przeważnie nie chce ruszyć się z legowiska, następnie o ile musi, próbuje ratować się ucieczką i tylko raniony, lub nie mogąc inaczej—szarżuje. Przeciwnie niedźwiedzica. Ta zawsze, nawet bez małych, męż-

nie stawia czoło niebezpieczeństwu. O wiele zjadlejsza, rzuca się na człowieka z rykiem, usiłując drogo okupić śmierć swoją.

I w tym razie jasnym było, że zwierz, zmiarkowawszy o co chodzi, zbierał się do skoku. Już zarys przedniej łopatki obejmowałem okiem, już i druga łapa wsparła się o krawędź. Lada chwila zwierz z iskrzącym wzrokiem i rozwartą paszczą mógł wyskoczyć z kryjówki i wówczas nie wiem, coby się było stało, bo choćby trafiona śmiertelnie, siłą impetu i ciężarem mogła zwalić i pokaleczyć moją małżonkę, która literalnie nie była w możliwości odskoczyć — jak o ścianę wsparta o specjalnie w tem miejscu zwarty zagajnik. Nawet wytrawny Martjanow nie wiele w tej ciasnocie dokazałby oszczepem. Wmgnieniu oka stanęła mi cała groza sytuacji w myśli. Chwila — i niebezpieczne wogóle łowy mogły się zakończyć tragicznie... A strzał wciąż nie padał, choć go wyczekiwałem gorączkowo, cicho było, jak makiem siał i tylko łowiłem uchem szybkie sapanie niedźwiedzicy oraz przyspieszony swój oddech.

Już groźne zwierzę z płomiennem okiem do połowy wychyliło się z jamy — jeszcze sekunda...

Nie mam absolutnie pojęcia kiedy pociągnąłem



za cyngiel. Huknął strzał i niedźwiedzica ciężko obsunęła się w głąb jamy.

Jeszcze krótka chwila oszołomienia i poskoczyłem ku otworowi, z którego głębi dobywał się teraz przytłumiony ryk, raczej harkanie. Zwalona na wznak tarzała się bestja, kłapiąc zębami, które w tym pomroku wydały mi się ogromne i połyskująco białe.

— Gotów! zakrzyknął wesoło stary, zbliżając się do barłogu.

Istotnie, śmiertelnie w sam łeb trafiona, w ostatnich podrygach wiła się niedźwiedzica na dnie do dwóch łokci głębokiego dołu. Celny strzał mojej żony skrócił jej agonję, w chwili zaś gdy dym się rozproszył, zabłysło dwoje oczów i głowa niedźwiadka pojawiła się nad otworem.

Znowu zagrzmiął wystrzał i — wielkości dużego kundysa — piastun obsunął się na martwą już matkę.

— Powinszować! — zawołał, zwracając się do mojej pani z galanterją, stary myśliwy.—Powinszować pierwszego niedźwiedzia! Mały on, ale doskonale trafiony!

Okazało się później, po wydobyciu niedźwiedzicy z legowiska, że od przodu, przesłonięty był otwór gęstymi krzakami, tak, że w chwili gdym do niedźwiedzicy strzelał, żona i brat jej zaledwie mogli widzieć wychylającą się głowę. Stojąc z boku, nieco od nich wyżej, widziałem lepiej, stąd wytłomaczenie mojego, zbytniego w ich oczach pośpiechu.

Nie tracąc czasu, tą samą drogą wróciliśmy do wsi, gdzie się odbyło uroczyste ważenie pobitych niedźwiedzi z następującym rezultatem: stara 8 pudów 10 f., piastun 67 f.

Zaraz po południu ruszyliśmy dalej do odległej o 30 wiorst wioski, w pobliżu której znajdował się następny barłóg.

Ponieważ okazało się na miejscu, że tylko w przybliżeniu wiadomem było gdzie się niedźwiedź do snu ułożył, zdecydowaliśmy zrobić na niego t. zw. „kruczok“, to jest obławę. Zebrała się natychmiast potrzebna ilość naganiaczy, gdyż chłopci tamtejsi są bez wyjątku zapalonymi łowcami, wreszcie powiadomieni byli o naszym przybyciu—i udaliśmy się do lasu.

W odległości piętnastu kroków od siebie ustawili nas Martjanow. Mnie na lewem skrzydle, potem żonę moją, wreszcie szwagra — i niebawem chłopci okoliwszy ostęp zaczęli krzyczeć — wcale nie ruszając się z miejsca.

Las na przestrzeni kilkadziesiątu kroków był rzadki, wysokopienny, dopiero w głębi przed nami zaczynał się gąszcz nieprzebyty — skłębiony zapust jodłowy, kompletnie zawalony śniegiem.

Minęło pięć, dziesięć minut, kwadrans. Chłopi nawoływali się ciągle, uderzając o drzewa.

Nagle zauważyłem, że okiść zaczęła się obsypywać z niskich jodełek, nawprost Poklewskiego. Niedźwiedź wychodził na niego. I rzeczywiście, dojrzałem naprzód uszy, potem głowę, która ostrożnie, widocznie węsząc, wychyliła się z gąszczu. Zwierz rozglądał się dokoła i widząc przed sobą rzadko porosły teren, cofnął się w gąszczary. Ale głosy obławy dolatywały go z trzech stron, coraz donioślejsze; nie było wyboru. Znowu wysunęła się głowa i po chwili ciemny, ciężki korpus wyłonił się z gęstwiny. Rozejrzał się raz jeszcze i śmiało ruszył przed siebie, brnąc w głębokim śniegu i kłyszając się zlekka.

Śliczny, wspaniały widok! — ten król naszych kniei, uosobienie siły i odwagi, ciemny prawie czarny wśród tej powodzi śniegu, którą pruć piersią swobodnie!

Miałem go jak na dłoni o kroków pięćdziesiąt i już podnosiłem sztucer, gdy wtem padły dwa strzały jeden po drugim. Niedźwiedź stanął jak wryty i niby gromem rażony osunął się na ziemię.

Podbiegliśmy — jeszcze dyszał, bluzgając krwią z nozdrzy, w sam łeb ugodzony sztucerową kulą mego szwagra.

Był to niewielki, bo zaledwie sześć pudowy niedźwiadek, lecz z wyjątkowo pięknem, czarnem futerkiem.

Jeszcze 40 wiorst odbyliśmy dnia tego i zano-cowawszy w wiosce malowniczo nad dużem jeziorem położonej, o świcie następnego dnia wyruszyliśmy dalej po czwartego niedźwiedzia, przeznaczonego mej pani.

Ujechawszy około sześćdziesięciu wiorst, dotarliśmy wreszcie, trochę przeziębnięci, bo mróz szczypał siarczyście, do osady zwanej: „Szimoziero“.

I dojazd do barłogu i podejście odbyło się podobnie, jak dnia poprzedniego, z tą tylko może różnicą, że znajdował się on w jeszcze dzikszej miejscowości, do której po prostu trudno było dotrzeć. Obrał sobie niedźwiedź kryjówkę pod zwaloną jodłą, która wsparta na bujnie rozwiniętych korzeniach i bogatej koronie, tworzyła niby tunel, na arszyn przeszło pokryty śniegiem. Przy pniu, prawie z trzech stron zabezpieczona omszałymi splotami korzeni, znajdowała się kotlina, w której zwinęte w kłębek drzemało zwierzę.

Stanęliśmy o jakie dziesięć kroków od jodły. Niedźwiedź nie drgnął i dopiero stuknięcie rohatyną o drzewo ocknęło go ze snu. Poruszył się leniwie, podniósł głowę i spojrzął na nas gniewnie.

— Strzelaj! — szepnąłem, zorjentowawszy się

prędko, że przebudzony zupełnie już, mógł lada chwila dać susa w bok i zniknąć od razu za pnem wyniosłej jodły.

Żona spokojnie podniosła sztucer do ramienia i pociągnęła za cyngiel. Ciszę głuchego ostępu rozdarł suchy wystrzał i ogromna głowa opadła.

Niedźwiedź ten, największy z ubitych w czasie wyprawy, ważył przeszło 10 pudów i miał szczególnie rozwinięty łeb.

W ciągu dwóch dni następnych, dotarłszy do malowniczych wybrzeży Onegi, wzięliśmy jeszcze parę niedźwiedzi i już w drodze powrotnej, postanowiliśmy zboczyć o wiorst kilkanaście dla ustrzeżenia ostatniego. Ponieważ wszyscyśmy mieli już na rozkładzie po dwa niedźwiedzie, ciągnęliśmy na węzłki, kto z nas ma strzelać i los mnie faworyzował. Że jednak zabijanie, leniwie ze snu się podnoszących zwierząt, przestało mieć dla nas urok, zdecydowaliśmy z Poklewskim strzelać w ostatniej dopiero chwili, to jest albo w razie ucieczki niedźwiedzia z barłogu, albo też ataku.

Gdy po dłuższej wędrówce Martjanow wreszcie pokazał mi barłóg, długo nie mogłem go dojrzeć. Szukałem daleko przed sobą, tymczasem miałem go niemal pod nogami.

Istotnie—pomiędzy dwoma krzakami karłowatej jedliny, w płytkiej jamie na śniegu, tuż przedemną, leżała ciemna masa, obsypana szronem. Tylko kudłaty garb ciemniał po środku. Ani głowy, ani łap widać nie było; a tak stałem blisko, że wyciągając rękę, mogłem go lufą dotykać. Leżał zaś tyłem

do mnie zwrócony. Choć podchodząc, oswojeni już z niedźwiedziami, nie zachowywaliśmy zwykłych ostrożności i wymaganej ciszy—zwierz leżał jak martwy. Minęło kilka sekund,—ciemna masa nie drgnęła—któryś z jęgrów świsnął i mlasnął językiem, nie uczyniło to najmniejszego na śpiącym wrażenia. Wówczas stary Martjanow lekko trącił go rohatyną. Odezwał się głuchy pomruk, kudłate cielsko jakby się skurczyło—i znów leżało bez ruchu. Widocznem jednak było, że niedźwiedź już

przebudzony zbiera się w sobie do skoku.

Znowu uderzenie oszczepem, lecz tym razem silniejsze i oto stała się rzecz dziwna. W jednym mgnieniu oka, niedźwiedź ryknawszy porwał się z miejsca i—literalnie, zanim zorjentować się mogłem, stał tuż przedemną, wspięty na tylnich łapach. Mignęła mi przed oczami rozwarta paszcza z szeregiem białych, długich zębów, za-trzepotały duże łapy, zbrojne w potężne pazury... A stało się to wszystko z tak błyskawiczną szybkością, iż miałem wrażenie, że zwierz poprostu z pod ziemi wyskoczył, niby

sprężyną wyrzucony w górę. Rzeczywiście nie wyobrażałem sobie zgoła, aby ciężkie to napozór i leniwe stworzenie, było w stanie z tak niesłychaną zwinnością z pozycji leżącej i łapami pod spód podwinętymi—znaleźć się w pionowej.

Nie było podobieństwa zmierzyć się; strzeliłem z przyrzutu i potwór chrapnąwszy wściekle, zwał się na bok. Strzeliłem raz drugi do padającego, celując w komorę, śnieg w tej chwili zasypał mi



Wincentowa Poraj-Chrzanowska nad pierwszym swoim niedźwiedziem.





Rozkład.

oczy, a gdym je otworzył, niedźwiedzia nie było już widać.

Huknęły szybko dwa strzały i zawtórował im tryumfalny okrzyk: gotowy!

Okazało się przy oględzinach zabitego, że pierwszą kulą trafiłem go pół cala niżej skroni, drugą zaś w osadę szyi, ponad komorę. Obie więc rany były śmiertelne, mimo to, twardy zwierz upadłszy na ziemię, znalazł jeszcze dość sił, aby powstać i rzucić się do ucieczki. Wówczas strzelił mój szwagier i jedną kulę wpakował mu w tylną łopatkę, drugą w krzyż, powodując natychmiastowy paraliż.

Już nie żył, gdyśmy do niego podchodzili. Wązki strumyk krwi sączył mu się z nozdrzy. Leżał jednak, rzecz dziwna, frontem do nas zwrócony, z cze-

go muszę wnosić, że spostrzegłszy rychło niepodobieństwo ocalenia się ucieczką, próbował ostatkiem sił pomścić śmierć swoją.

W trzy dni później nocnym pociągiem wróciliśmy do Petersburga, wioząc siedem niedźwiedzi. Zmęczeni prawda cokolwiek i zziębnięci porządnie, lecz za to wpelni używszy znakomitej sanny, zachwyceni ślicznymi widokami tamtych stron i do głębi przejęci bogatemi w emocje łowami.

Po zastanowieniu się nad życiem każdego myśliwego, widzimy z jak wielkiem niebezpieczeństwem połączony jest niemal każdy krok człowieka, oddającego się polowaniu. Nie mówię tu naprzykład o polowaniu na niedźwiedzia śpiącego w swem legowisku, którego trzeba dopiero oprzytomnić i podrażnić, by zrozumiał zagrażające mu niebezpieczeństwo ze strony myśliwych i zdolnym był do obrony; a mówię tu o zwierzu, przygotowanym nieustannie do obrony, w każdej chwili czujnym, łowiącym przesubtelnionym przez lęk słuchem najdelikatniejsze szmery, zresztą rozdrażnionym emocją oczekiwania...

Wówczas walka staje się interesującą i prawdziwie narażającą na niebezpieczeństwo obie strony narówni.

Prawdziwy tryumf osiąga myśliwy po takich łowach, gdy powraca z bogatym łupem, okupionym odwagą, energią i zimną krwią własną.

WINCENTY PORAY-CHRZANOWSKI.

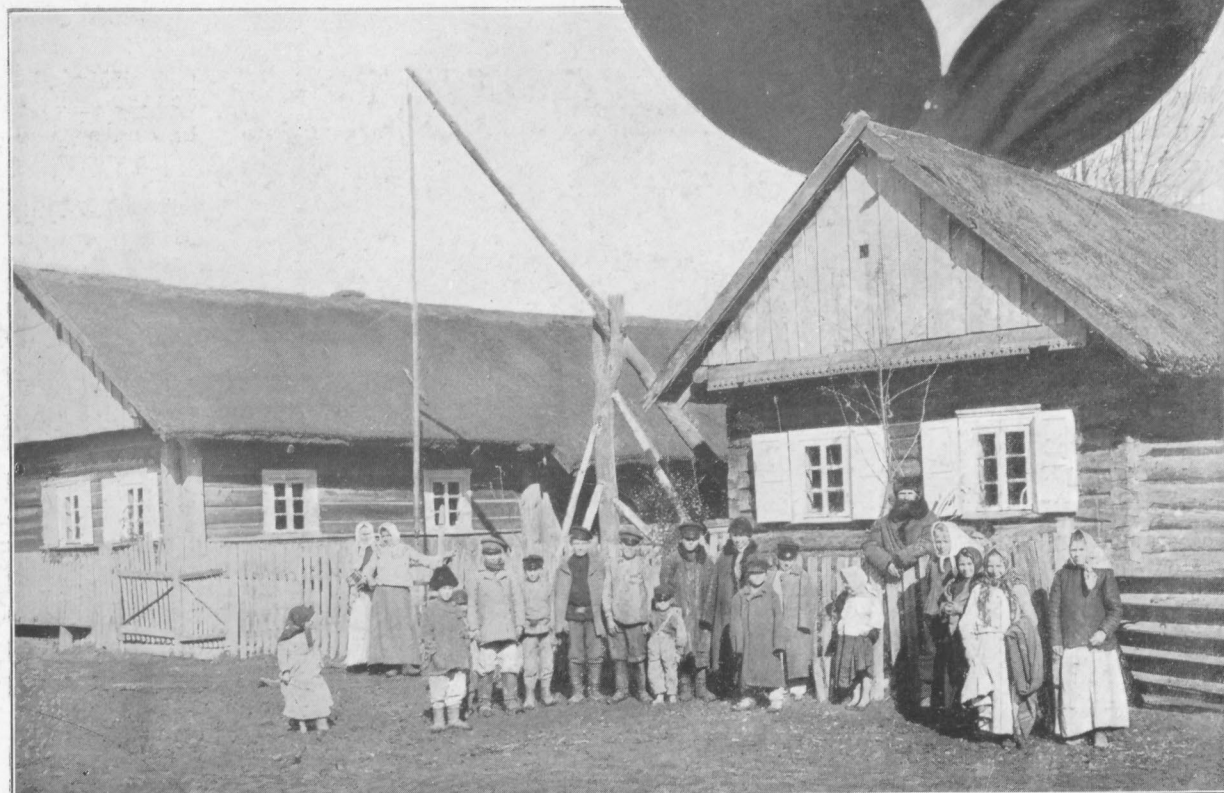
Petersburg, 15/II 1912.



Roztopy wiosenne.



Z LITWY







Ks. biskup wysiada przed bramą katedry z powozu.

## Ingres ks. biskupa krakowskiego.

**S**tary gród podwawelski w listę dostojnych swoich pasterzy od tylu wieków świetnemi, zasłużonemi imionami błyszczący, wpisał w ubiegłym miesiącu nowe nazwisko witając w murach swych następcę kardynała Puzyry na książęcej stolicy krakowskiego biskupstwa.

Duchowne to dostojństwo ma w dziejach swych kartę osobną. Biskup krakowski pomimo że w hierarchji ustępował miejsca prymasowi, był jednak z racji władzy swej pasterskiej w stolicy dawnej Polski pierwszym duchownym dostojnikiem królewskiego dworu, był jak gdyby poważnym człon-

kiem reprezentacji władzy monarszej naszych królów. Jako senator, zajmował on wśród duchownych swoich kolegów stanowisko podobne do tego, które piastował kasztelan krakowski — „pan krakowski“, pierwszy z senatorów świeckich.

Dlatego dziś jeszcze każda zmiana na stolicy krakowskiej, każdy nowy ingres biskupi na Wawelu, jest żywym wspominkiem tych dziejów i uroczystością specjalnego znaczenia.

W dniu 1 marca przybrał właśnie Kraków jeszcze raz szatę odświętną na powitanie nowego Pasterza, J. E. księcia biskupa Sapiehy. Na dworcu kolejowym

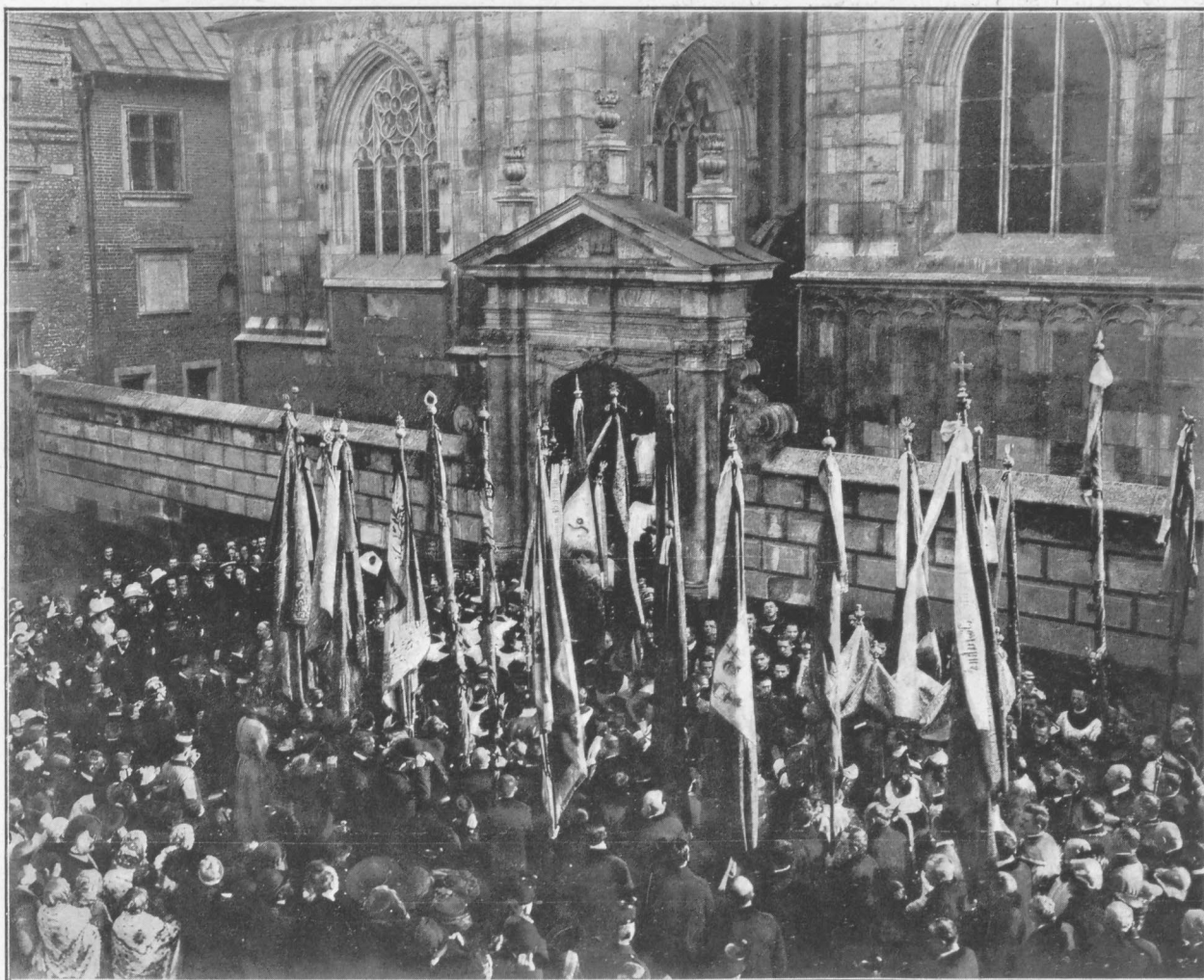


Szpaler utworzony przez bractwo i Tow. strzeleckie na podwórzu zamku.

przyjęli dostojnego gościa: ks. biskup Nowak z kapitułą katedralną i duchowieństwem świeckim oraz zakonem, wydział teologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego z dziekanem ks. Sieniatyckim, senat akademicki, rada miejska, rada powiatowa, naczelnicy władz administracyjnych i wojskowych, sodalicje i liczne stowarzyszenia katolickie, poczem olbrzymi pochód z banderą Krakusów na czele towarzyszył księciu biskupowi przy

O godzinie 9-tej rano biskup udał się do katedry, gdzie przed drzwiami czekała nań cała kapituła katedralna. Po ucałowaniu podanego sobie krucyfiksu biskup pod baldachimem procesjonalnie wkroczył do katedry. W procesji tej brały udział cechy ze sztandarami i starszyzną piastującą buzdygany, rada miejska oraz notabile miejscowi w strojach polskich lub mundurach paradnych.

Za progiem katedry archidjakon wręczył mu jej



Duchowieństwo oczekuje przybycia ks. Biskupa przed katedrą.

dźwiękach dzwonu Zygmuntońskiego do kościoła Marjackiego.

Po drodze, którą przejeżdżał, stały szpalery młodzieży szkolnej ze swymi orkiestrami. W niedzielę d. 3 marca odbyła się uroczystość ingresu biskupa przy udziale całego galicyjskiego episkopatu, wszystkich obrządków, a więc arcybiskupów: Bilczewskiego i Teodorowicza oraz biskupów: Pelczara, Wałęgi, Bandurskiego, Nowaka, Czechowicza i Chomyszyna (metropolicie Szeptyckiemu choroba przeszkodziła przybyć) — a dalej: namiestnika Bobryńskiego, marszałka krajowego hr. Badeniego i ministrów: Bilińskiego, Długosza i Zaleskiego.

klucze, poczem biskup od ołtarza św. Stanisława ruszył procesjonalnie ku wielkiemu ołtarzowi ozdobionemu na tę uroczystość cennym tryptykiem z XV wieku, krzyżem gotyckim Kazimierza Jagiellończyka z koroną oraz złotą różą ofiarowaną żonie Augustusa III przez papieża. Kanclerz konsystorza ks. Nikid odczytał bullę papieską w językach łacińskim i polskim, poczem ks. biskup Nowak powitał nowego Pasterza imieniem diecezji, kapituły i duchowieństwa, na co otrzymał zwięzłą i serdeczną odpowiedź.

Zabrzmiał z chóru hymn *Te Deum laudamus*, ozwały się dzwony wszystkich krakowskich kościo-



łów — nowy biskup krakowski zaczął przyjmować uroczyste *homagium* kleru. Nastąpiła potem uroczysta celebra, do której książę biskup przywdział racjonal królowej Jadwigi, mitrę biskupa Strzepińskiego z XV wieku i ornat robiony ręką Anny Jagiellonki, a w dłoń ujął pastorał biskupa Małachowskiego. Asystował jako archidjakon ks. prałat Wądolny, a jako lewicy, prałaci Krupiński i Mazanek. Na zakończeniu nowy pasterz przemówił z katedry gorącym i serdecznym słowem. Po nabożeń-

stwie podejmował ks. biskup swoim kosztem 150 ubogich w klasztorze SS. Miłosierdzia i 150 w Domu Pracy na Kaźmierzu, osobiście ich witając i błogosławiąc, podejmował także duchowieństwo diecezji i liczne świątne grono dygnitarzy cywilnych i duchownych, przybyłych na ingres, w pałacu biskupim przy ul. Franciszkańskiej. Z Warszawy obecni byli: ks. kanonik Zygmunt Chełmicki, ordynat Maurycy hr. Zamoyski i b. poseł H. Dembiński.

L. M.



Dygnitarze wojskowi i cywilni przed bramą katedry. (Rohm Ermolli, hr. Wodzicki, hr. Potocki i inni).

## PRZEŚNIONY SEN.

Gdym poznał świat  
W wiosennej szczęścia dobie,  
Miłości kwiat  
Wciąż kazał śnić o sobie.

Z pól kwiatnych wiew  
Roskoszy niósł mi słowa,  
Gdzie rózy krzew —  
Tam dwojga serc rozmowa.

Cóż marzeń czar?  
Gdy szczęścia wschodzą zorze,  
Po uczuć dar  
Nie każdy sięgnąć może.

Wyciągnąć doń  
Młodzieńcze trza ramiona,

Pić z kwiatów woń,  
Czas pędzi — szczęście kona.

Marząca skroń,  
Tęsknotą drży za wiosną,  
Cierń zranił skroń,  
A róże — w dali rosną.

Dziś kwitną znów  
Bzy wonne i jaśminy,  
Lecz z życia snów  
Ból został mi jedyny.

Gdzież marzeń dal?...  
Znikł szczęścia obraz złoty  
Z snów został żal  
Wraz z gorzką łzą tęsknoty.

LEONIA GRABSKA.







1911 tylko 28,750 rb. w Warszawie. Bajeczne te odskoki w wygranych są wprost nadzwyczajne i na żadnym europejskim torze w tym stosunku nie uwidoczniają się, zwłaszcza przez szereg lat.

W Rosji wyrasta dla tej potężnej stajni poważna konkurencja pod postacią stajni p. Mantaszewa, składającej się z 49 koni w r. b., ale u nas żadnej przeciwwagi niema.

Stajni Łazarewowskiej nie możemy też przyjmować jako wynik ściśle krajowej hodowli. Jest ona prowadzona częściowo zresztą dla eksploatacji naszego toru, ale jej hodowlany punkt ciężkości pada na Rosję, nie na Królestwo.

Hodowla nasza ucierpiała w r. b. jeszcze skutkiem zwinięcia oddziału warszawskiego stajni ks. Lubomirskich oraz stajni i stada J. Reszkego w Skrzydlowie. Trzeba mieć nadzieję, że stado Kruszyna-Widzów funkcjonować jednak będzie.

W każdym razie dla hodowli naszej pełnej krwi ubywa warunków rozwoju. Ubiegły rok był niepomysłny, a bieżący nie zapowiada się pomyślniej.

Przykład jednak wybitniejszych hodowców rosyjskich wskazuje naszym drogę, po której do podźwignięcia hodowli dążyć należy.

Nie mamy mianowicie obecnie dostatecznego materiału stadnego w kraju.

Niema głównie matek, a te które są, zestarzały się już w stadach. Potrzeba nam importu i to nie reproduktorów, lecz właśnie matek stadnych, bo reproduktorów mamy nie do zbytku, nie tyle może nawet ile ich i jakich zwłaszcza wymagałaby hodowla pierwszej klasy, ale tyle i takich, że można nimi poprowadzić hodowlę naszą ku dobrym rezultatom. Depo Janowskie utrzymuje sto ogierów. — Delegacja hodowlana ma kilku

dobrych, dokupiła zaś w grudniu r. z. w Newmarket jeszcze dwa: „Dunree“ i „Lead On“. W rękach prywatnych hodowców jest też kilkanaście dobrych reproduktorów, a nadto właściciele większych stad posiłkują się odchowywaniem swoich klaczy zagranicą,—nawet w Anglii—z reproduktorami pierwszej klasy.

Ale matek stadnych, młodych i odpowiednio prądowni krwi dobranych do tych prądów, jakie mamy w kraju w reproduktorach, mamy bardzo mało. Tylko import może nas w tym kierunku poratować. Hodowcy nasi mieli niejedną sposobność przekonać się, jak opłaca się matka młoda i dobra, sprowadzona z zagranicy. Na przetargach w Newmarket nietrudno jest o kupno takich klaczy, zresztą mamy je bliżej choć może nie w takiej ilości i jakości, w Austrii.

Nie idzie nam bynajmniej o narzucenie naszym hodowcom sprawy rozwoju hodowli pełnej krwi jako jednej z palących potrzeb krajowego gospodarstwa.

Nikt jednak nie zaprzeczy, że kwestja ta wcałokształcie tego gospodarstwa dosyć poważna. Bo skoro poświęcili jej nasi hodowcy w przeszłości tyle nakładu materialnego i pracy, skoro popłynęło już na nią tyle pieniędzy, to przecież dziś przechodzenie nad

tem wszystkim do dalszego porządku dziennego, zaniedbywanie tej pracy, która tak poważne dawała już rezultaty ekonomiczne, byłoby tylko dowodem nierozumu i dziwnie niepotrzebnej lekkomyślności.

Ale w hodowli koni jak i w każdej innej, nie można stać na miejscu. Zatrzymanie się jest krokiem wstecz. A iść wstecz, znaczy dążyć do dobrowolnego upadku.

z. w.



Bierzwienna krótka. Dom od strony parku.  
Ogier „Arandel“ pełnej krwi ang., kupiony w Anglii przez Janowskie stado.





Przyjaciele. Hryszowce na Podolu (z teki A. Russanowskiego).

## SPOTKANIE.

Była głucha noc, kiedym docierał do miejsca wczorajszych wieczornych podsłuchów, do trzech wyniosłych świerków, odwiecznych strażników głuszcowego błota. Las spał jeszcze, tylko daleko gdzieś w jego wnętrzach chichotał puchacz, obchodząc doroczne święto wiosny. Wśród włókien pierzastych, przejrzystych obłoczków, zwiastunów przyszłej niepogody, błędził trupio-błady sierp księżycy i zwodne światło rzucał na ścięte nocnym mrozem śniegi, wszędzie naokoło zalegające błota; tylko południowy stok suchego „ostrowu“ nagi był, gdzieś poplamiony bia-

ławym łachmanem ocalałego śniegu, gdzieś plonąca w księżycu paprocią rdzawy, sam jeden świadcząc o nadejściu wiosny, — i oko chętniej zatrzymywało się na ciemnej jego płachcie, szukając śladów ciepłych, słonecznych dni, które tędy przeszły.

Sam byłem. Wprawdzie pierwszy to raz zapuszczałem się w przepastne knieje tego dzikiego zakątka Białej Rusi, wołałem jednak pozbyć się przewodnika, którego mi wyznaczył uprzejmy gospodarz, i raczej błędzić w nieznanym lasach, niż dzielić rozkosze łowów z obojętnym mi bardzo osobnikiem.



Przed wyprawą na głuszcze.



Pocziwy Fońka zapewne chrapał sobie teraz słodko, zawinięty w kożuch przy ognisku, gdzie go zostawił, — i rad byłem, że nie potrzebuję słuchać jego czezej paplaniny, którą bawił mię z obowiązku przez cały wieczór, że zamiast dymu machorki, wchłaniać mogę pełnymi płucami czyste, mroźne powietrze, zlekka zaprawne subtelną wonią bagna.

Tam, niedaleko, na błocie, gdzie przed chwilą utonął księżyc w sennym morzu sosen, miałem ja towarzysza, który wystarczał mi najzupełniej: ogromny, ciemny ptak drzemał teraz czujnie gdzieś na grubym konarze, gotów z pierwszym połyskiem jutrzeńki rozpocząć grę.

Gdy z wieczora zapadł z hałasem na drzewo i zaśpiewał, już był moim: kilkoma wieczornymi zwrotkami zaprzedał mi siebie i swoją jutrzejszą ostatnią pieśń poranną. Mogłem go być wówczas z łatwością strącić na ziemię, lecz, nie wiem dlaczego, powstrzymałem bujne porywy myśliwskiej żądz. Kiedy ostatnie blaski zgasły na zachodzie, odszedłem cicho, ostrożną stopą po tysiąc razy badając szorstką śnieżną skorupę, rozgarniając bez szmeru napotymane krzaki, po ciemku zgađując przeszkody. I byłem pewien, że go nie spłoszył. Więc teraz, kiedy wczesna słonka zachrapała nad lasem, siedziałem spokojny pod trzema świerkami i tylko słuch, wyostrzony do ostatnich granic, czyhał na pierwszy ton wiosennej melodji.

Aż oto zabrzmiał dawno oczekiwany dźwięk, samotny i cichy, a jednak potężny; po kilku niesmiałych próbach głuźzec rozpoczął grę.

Jak dźwięcznie brzmi pieśń głuźcowa w mroźny, pogodny kwietniowy poranek! Jak lekko i chyżo mknie się po jędrnym śniegu wiosennym!

Wybierałem miejsca, gdzie sosny stały gęściej, pokryte łożą i drobną świerczyną, omijałem białe plastry leśnych halizn i rychło poczułem w pieśni właściwej te ostre, chropawe nutki, które zbliżka tylko rozeznac potrafi słuch. Wtedy nieruchomy i czujny, badałem po kolei najbliższe drzewa. Nie potrzebowałem długo szukać: na odsłoniętej, krzy-

wej sosence czerniała podłużna postać głuźca, do potwornej szyszki podobna. Widziałem, jak przy ostatnich spazmach poszczególnych pieśni drgał lekko nawiół rozchylony wachlarz ogona. Głowę i część szyi zasłaniał mi splot grubych gałęzi.

Ostrożnie się zaszyłem w oliwkową zieleń kilku świerczków, ciągnących skąpe soki z trupa jakiejś powalonej, rozpadającej się osiny i zwolna piłem słodycz gry: chciałem wyzyskać do końca mego jedyne, z wieczora zasadzonego głuźca, wysączyć kielich rozkoszy po kropelce do dna. Strzał, jako szczegół mniejszej wagi, odkładałem na później.

Tymczasem dzień rósł szybko, zgasły gwiazdy i w dali ozwały się słodkie fletnie nielicznych jeszcze drozdów. Zgiełkliwy bełkot cietrzewi, jak brzęczenie olbrzymiego trzmiela płynący z pobliskiego błota, urwał się nagle: nastąpiła ta pora, kiedy czarni rycerze odpoczywają po pierwszych, wczesnych zapasach. W pewnej chwili złowiłem uchem szmer czyichś dalekich kroków. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy... trzeszczała śnieżna skorupa w takt głuźcowej pieśni, i pewien już byłem, że jakiś wolny strzelec pragnie mi sprzątnąć z przed nosa moją zdobycz. Podniosłem strzelbę, by na swoją korzyść przerwać, póki czas, miłosną pieśń głuźca, lecz nagły gniew na nieproszonego gościa podsunął mi projekt

wyrafinowanej zemsty: dopuszczę go na blizką metę i wtedy dopiero, gdy wyiskrzonem okiem chciwego kłusownika myszkować pocznę w koronach sosen, celnym strzałem zwalę głuźca na ziemię. Znadto dobrze znałem sprawność łowiecką takich nawiół dzikich synów puszczy, bym się miał obawiać, że mi przedwcześnie spłoszy koguta.

Z palcem na cynglu wlepiłem oczy w tę lukę między sosnami, gdzie miał mi się niebawem ukazać mój wróg. Liczyłem ostre, zdobywcze odgłosy jego kroków, podziwiałem, jak zgrabnie, bez hałasu wyplątał mi się z matni łożowych zarośli, zdradziecko czyhających w tamtej stronie, hamowałem nierówny łomot własnego serca...

I nagle w niemem zdumieniu zachnąłem się w tył...



Na tokowisku.

Zakołysały się z sypkim szelestem potrącone świerczki, zamilkł głuźzec i wolno jakoś składał szeroki wachlarz ogona...

Na polance pomiędzy sosnami tam, gdzie miał mi się ukazać kosmaty, zbrojny w długi samopał kłusownik, stała śliczna dziewczyna o ciemnych włosach i jasnym wejrzeniu. Drapieżnie i słodko utkwiała wielkie, szare o ciemnych obwódkach oczy w głuźca i snadź pojęła jego zamiary, gdyż ruchem błyskawicznym złożyła się do strzału,—i suchy trzask przywołał mię do rzeczywistości.

„Ach, jakże głupio dałem się wyprzedzić“... łowiłem poszarpane strzępy myśli: „Kto to, leśna dryada czy ekscentryczna panna z zagrzebanego w lasach dworu?.. Dryady nie strzelają bezdymnym prochem“!..

W bolesnej zadumie słuchałem coraz szybszego i coraz słabszego grzmocenia bezsilnych skrzydeł o twardy śnieg. I nagle jasno stała mi przed oczami cała groza mego położenia. „Byle mnie nie dojrzała, byle poszła sobieczemprędzej“, myślałem z trwogą, tuląc się do struchlałej wpośród drobnych świerczków osiny.

Co przeczytałbym w tych oczach, gdyby mnie tak teraz odkryły, śmiesznie zagrzebanego w krzaki, zmiażdżonego wstydem? Jak zniósłbym srebrne kaskady śmiechu, które polalyby się z pewnością po lesie, gdybym jej odkrył prawdę?

Uspokoił mnie miarowy skrzyp oddalających się kroków; wyjrzałem z kryjówki. Wysokie, obciste

buciki wybijały dźwięczny rytm na skrzepłych śniegach. Z za pleców dziewczyny, z luźno ściągniętego alpejskiego worka, żalobnie powiewał ku mnie czarny wachlarz, białemi centkami znaczony...

Znikła w rdzawo-zielonej dali, wydało mi się, że roztajała w czystym, kryształowym głosie drożdźki śpiewaka.

A z głębi lasu rwały się już radosne pohukiwania Fońki, jak dobry gończyk śpieszącego na strzał. Wiedział on, że jednego tylko zasadziłem z wieczora koguta, i pewien, że nie przeszkodzi, biegł teraz szczęśliwy, pragnąc mi powinszować (w biały dzień wszak nie pudłuje się do głuźców na toku), w obfitych, soczystych, obmierzłych frazesach wyrazić uwielbienie dla moich cnót myśliwskich.

Jak szczerzyżając, porwałem się do ucieczki. Możeby Fońka, jako miejscowy strzelec, mógł mi wyjaśnić tajemnicę dzisiejszego spotkania, jednakże za nic w świecie nie chciałem szarpać krwawiących ran przed obcym człowiekiem.

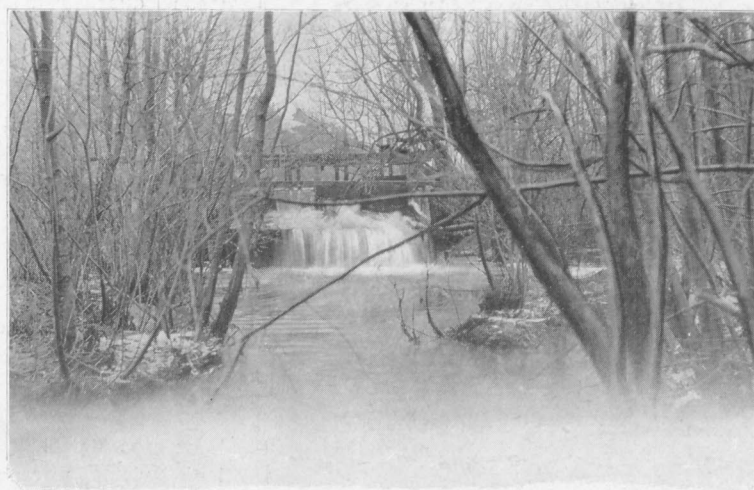
Biegłem więc w przeciwną stronę, w nieznany las i pędząc słyszałem, jak jęczały za mną głucho wysokie świerki w nagłym porywie wiatru. Słońce wstawało krwawe i zadymione i ciężka chmura siadła na zachodzie.

Żegnaj mi, jasna pogodo wiosennych poranków!

JÓZEF WOYNIŁOWICZ.

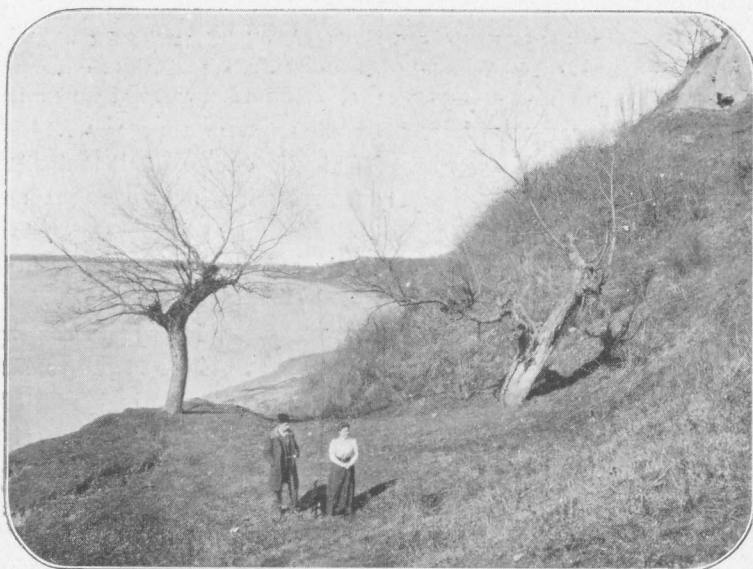


Wiosenny ruczaj.



Roztopy wiosenne.





Rzeka Skrwa pod Sikorzem, pow. Płocki (fot. amat. Włodzimierza Chwałiboga).



Roztopy wiosenne (zdjęcie P. Kadukowskiej).



Urwisko nad brzegiem Wisły, pod Brwilnem pow. Płocki (fot. amat. Włodzimierza Chwałiboga).

## POWITANIE.

Ptaku! Przyfruwasz z oddalonych stron?  
Tęskność cię zmogła? Czy mych wołań  
dzwon

W każdy świetlisty gonił cię zaranek,  
Gdyś sercu memu plotła uczuć wianek?...

Czy cię ogrodu natchnął żywy czar,  
Gdy kwiat ustami w całunku się zwał  
Z tchnieniem zefiru, omdlałem z rozkoszy?  
Czy rój motyli, co go wietrzyk płoszy

Z liszka na listek, jak słoneczny pył,  
Sny twoje zmaćił? Krew rozgrał twych żył?  
Duszę otworzył, jak niebiosów wrota,  
Gdy w niej, jak zorza, płonie miłość złota?

Powiedz, kochanko, z oddalonych stron,  
Bom dziś upagnion twoich słodkich gron —  
Piersi, co tęsknot oprzędzone czarem,  
Bo czekam z młodych swoich ust pożarem

W ogrodach życia, rozwonionych wkrąg!  
Bo czekam z drzeniem niespokojnych rąk —  
Rychło w mych objęć otwarte niebiosą,  
Jak wonność róży mi padniesz, jak rosa

Na grudę ziemi, zczerniałą od spiek,  
Pada i duszy jest, jak dobry lek,  
Jak zbawcze wino, jak ożywcza woda!  
Powiedz, kochanko, czy dłoń twoja poda

Duszy mej napój tak słodki, jak miód  
Z dzbana, co niegdyś lał w żyły nam cud:  
Żar i płomień ognistsze od zorzy,  
Nim je noc życia w czarny grób położy?!..

Kochanko! Cichy nas rozdwoił los,  
Jako dwie rzeki, rozśpiewane w głos,  
Dzieli ład kwietny, dzieli gwiazd  
przestworza,  
Choć do jednego biegą uczuć morza!..

Lecz moc się tai na dnie naszych rzek —  
I do kwietnego brzegu lgnie już brzeg,  
Bo tam już szumią cichych pragnień zdroje,  
Co niosą zbawcze miłości napoje...

I ty już wracasz z oddalonych stron —  
Tęskność cię zmogła, moich wołań dzwon  
W każdy świetlisty gonił cię zaranek,  
Gdyś sercu memu plotła uczuć wianek...

WŁADYSŁAW ZAŁEWSKI.



## MODA.

Kwiecień... wiosna... początek radosnych chwil roku, w których pogrążona w zimowym letargu natura budzi się z martwych do nowego życia i z młodzieńczą siłą czerpaną w słonecznych promieniach, zaczyna zwykłe dzieło swego odrodzenia. Człowiek — niestety daru tego nie posiada — rok każdy wyrывa mu cząstkę życia, której żadna wiosna nie powróci!...

Chcąc się jednak dostroić do ogólnej wiosennej symfonji, wolno i nam marzyć i pragnąć tego odświeżenia, tego wiosennego przeistoczenia się wcielonego w najbliższe nasze obramowanie, czyli ubiory, podlegające na wiosnę radykalnej zmianie.

Tam... w stolicy świata i mody, w promiennym Paryżu, dawno już obmyślano i postanowiono, co mamy nosić, jak mamy wyglądać, przygotowano bajeczny, niewyczerpany koncert tualetowy — którego uwerturą, treścią i finałem jest — zdumiewający fantazją pomysłów i przejawów, olbrzymi zbytek — oparty na próżności naszej kobiecej, na ciągle wzmagającej się chęci podniesienia strojem, wrodzonego wdzięku i urody.

Chcąc określić szczególnie sezonową modę, należałoby wypełnić tem całą broszurę. Brak miejsca zmusza mnie do możliwie streszczonego aperçu sezonowych nowości czerpanych z najpierwszych, najpewniejszych źródeł.

Jak zwykle tualetowy repertuar dzielić się musi na ubrania i stroje uliczno-spacerowe, wizytowo-obiadowe, wieczorowo-rautowe i domowe. Przedewszystkiem przypatrzmy się zmianom jakie tegoroczna wiosna uczyniła w całokształcie czyli rysunku naszych postaci bo wszak: „*la ligne — c'est la femme*”. Otóż sylwetki nasze nie uległy znamiennym przeistoczeniom, są one *trochę inne*, mają swój *cachet de nouveauté*, ale w dalszym ciągu mamy być szczupłe, wiotkie i smukłe... Trudno, tak każe moda! Tendencja jednak zmierza do poszerzenia i podłużenia kostjumów, zjawiają się nieśmiało z długotrwałego wygnania, marszczki i fałdy na spódnicach, nawet tych krawieckich i... o dziwo... spostrzegamy nawet imitację sławnych *paniers* z 1668 i 1762 r., coś na kształt nieśmiały prób poszerzenia naszych postaci — dodać należy, że te obecne *pseudo paniers*, falują poniżej bioder a zebrane są przy spódnicy powyżej kolan, pozostawiając nietkniętą szczupłość bioder. Nie myślę jednak żeby się ten kapryślik mody przyjął i utrzymał. Rękawy będą nosić przeważnie długie, naddane przy wszyciu, szczególnie przy plecach. Ulubionymi obecnie materiałami są tak zwane *double face* w różnych kombinacjach kolorów, o podstawie najczęściej czarnej, następnie śliczny materiał zwany *bengaline*, popeliny, oraz epidemicznie modne *taffetas glacés*, *taffetas souples*, *taffetas changeants*, o cudnych barwach (b. piękne) *gorge de pigeon*, *opalines* i t. p. Modne również tafty w wążiuchne paseczki, oraz w bukietki i girlandki — te ostatnie mają służyć na sukienki wiosenne i letnie *stylowe* — owe bardzo dawne pra-pra-babek naszych, a obecnie wskrzeszone. Materiał *surab* i *satın souple* cieszy się wzięciem. Kolory niebieski — czarny — wiśniowy oraz *beige* z odcieniem złotawym t. z. „*Tripoli*” będą bardzo noszone.

Kostjumy krawieckie dzielią się na dwa rodzaje *tailleurs simples* i *tailleurs habillés*. Pierwsze — te proste, skromne, uległy od jesiennego sezonu bardzo małym zmianom, trochę dłuższe i szersze zlekka przybierane taśmami, sutaszem, z obcisłym żakietkiem, drugie te strojniece, już cokolwiek stylowe, z żakietami *Directoire*, z troszkę marszczek, drobnich guzików, z tak zwanymi *crevès* z materji z przybraniem w cieniach *tranchants* lub z wylogami i mankietami

z haftu *Madère* lub koronki. Z wełnianych materiałów najmodniejsze tak zwane *grosse serge*, *diagonale* mieniący (wielka nowość) i szewiot oraz nieśmiertelny *drap de dames*.





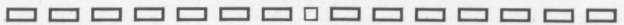
Tyle o kostjumach. Co do strojów wieczorowo-rautowych, to moda, która nie zawsze bywa despotyczną — pozostawiła poszczególnym gustom i upodobaniom naszym, obszerne pole działania. Wszystkie style, epoki strojów, różnych narodowości są uwzględniane — Starożytna Grecja



Egipt, Turcja, wiele wzorów arabskich, ulubiony styl „Salomé”, i t. d. i t. d. — wszystko to oczywiście zmodernizowane i zastosowane do obecnych wymagań. W tego rodzaju tualach, panuje niepodzielnie zbytek z „Tysiąca nocy”. Tam wszystko lśni i mieni się od drogocennych materji, od lam tkanych złotem, od koronek dzianych drogiemi kamieniami — jest to istna fantasmagorja wymagająca skarbów krezusowych... A jednak bardzo wiele wybranek losu, stroi się w ten sposób. Stare koronki — *vieux Venise*, są ulubionem przybraniem wielkich tualiet, przetykają je kaboszonami, jedną z nowości sezonowych jest ramowanie strojnych sukien piórkami strusimi (dół sukni i wycięcie stanika). Z tychże piórek będą bardzo modne obramowania parasolek. Treny przy sukniach strojnych, będą w dalszym ciągu długie i wąziutkie (*l'hirondelle* lub *comète*) zupełnie od spodniejsukni oddzielone — garnirowane będą girlandami z kwiatów lub piórami.

Dział płaszczy (*manteaux*) bardzo się pokażnie i zajmując w obecnym sezonie przedstawia, zaczynając od skromnych długich palt, rodzaju tak zwanych burek, z grubego materiału „*double face*”, przechodząc do długich płaszczy tak zwanych *de Ville*, z pięknej czarnej materji z ruzsami *à la vieille* u dołu i przybraniami z haftu angielskiego, lub *broderies S-t Gall*, a kończąc na *manteaux de théâtre*, z bardzo drogich adamaszków, brokarów, welurów, broszowanej krepy,

**POŻYCZKI NA MEBLE** udziela  
TOW. AKC. **A. Wróblewski i S-ka, Trębacka 13.**



ozdabianych olbrzymiami koźnierkami z gipsu; wszystkie te okazy są bajecznie ładne, lub przebajecznie wspaniałe.

Kończąc ten pobieżny przegląd rzutem oka na kapelusze, przedstawiające się wprost niebywale jako obwody, lub wysokości. Są one podobno głównie wzorowane na starożytnych obrazach a więc przeważnie stylowe. Tak zwane *Capelines Louis XVI, tricornes Louis XV, lub Louis XIII*, t. z. *Cobriolets Empire* i t. d. i t. d. Małe i najmniejsze, wielkie i największe... Jest w czem wybierać do gustu... i twarzy. Dużo kwiatów, mało piór, nie wiele na lato egret, kolor zastosowany do koloru tualety.

Oto sama treść tego co mi piszą z Paryża.

Chcąc się przekonać jak wygląda moda wiosenna u nas w Warszawie, udałam się do bardzo znanego i bardzo wytwornego Magazynu pana Janiszewskiego prosząc by mi zechciał pokazać przywiezione przez siebie co tylko z Paryża, modele kostjumów, płaszczy, etoli, bluzek oraz materiały, przybrania i t. p. Ze zwykłą sobie uprzejmością przedstawił mi wszystkie swoje skarby — a istotnie było ąa co popatrzeć... P. *Janiszewski* umie wybierać z paryskiego rogu obfitości, ma gust pięknie wyszkolony i zna upodobania swej wybornej klienteli, stale się powiększającej i obejmującej coraz to szersze koła. Chcąc kopjować wszystkie modele, musiał się zaopatrzyć we wszystkie odnośne materiały — a więc tafty mienione i *glacés*, materje i wełny *double face, surab, satin souple, Tripoli*, wszystkie hafty, wszystkie ozdoby — w olbrzymim wyborze.

Dalej oglądałam palta podróżne angielskie *double face*, piękne w swej prostocie, praktyczne niezmiernie *cache poussière* ze specjalnej, nieprzemakalnej wełny, bardzo szykowny płaszcz z wełny granatowej z dużymi wyłogami ozdobiony sukmem koloru *Suède* (złudzenie skóry) i dużemi złotemi guzami. Z działu modeli kostjumów, cały asortyment i *tailleur simples*, genre czysto angielski i *tailleur habillés* z tafty, z bengaliny, najświeższych tylko co kreowanych fasonów i doboru kolorów, ze strojnych *manteaux* wspaniałe dwa modele jeden z czarnego *surab* z ruszą na dole i przybraniem z czarnej gazy zdobnej haftem S-t Gall, drugi z *tafty souple* przybierany haftem angielskim i tak zwanemi — wodami — bardzo modnemi. Następnie oglądałam całą olbrzymią kolekcję bluzek, od najwytworniejszych do skromnych batystowych z walansienami i haftami. Jest to ostatnie słowo tego, czem może być bluzka pięknie wykończona, z przeslicznych materiałów. Bluzki pana *Janiszewskiego*, mają już zresztą ustaloną a zasłużoną opinię, najpiękniejszych w Warszawie.

Tylko co nie zapominałam o wspaniałych luksusowych ogromnych etolach, tak bardzo modnych — z nurków, groności — fok i t. p. tamże widzianych.

Wychodząc z Magazynu p. *Janiszewskiego* odniosłam raz jeszcze, wrażenie, że w Warszawie można się ubrać równie szykownie i elegancko jak w Paryżu... trzeba tylko wiedzieć gdzie i do kogo się udać...

Marcèle.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*Stalemu prenumeratoremu w Mianocicach.* Zeszyty „Wsi Ilustrowanej” będą wychodziły na przyszłość w pierwszych dniach każdego miesiąca

*Hr. Izie K. we Lwowie.* Wszelkie przesyłki i listy prosimy adresować: Redakcja Hoża 47.

*P. W. Prenumerata „Journal Instructif et amusant”* rocznie z przesyłką rb. 2.40.

### DOM BANKOWY T. SZEMPLIŃSKI i S-ka WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcji, asekuracja.  
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

## Z dziedziny kosmetyki i higieny. ODPOWIEDZI I RADY.

*Do wszystkich.* W Kalotechnice, Marszałkowska 116, telef. 16 73, wykonywane są wyłącznie pod kierunkiem lekarskim wszelkie zabiegi racjonalnej kosmetyki, mianowicie masaże twarzy wibracyjny i elektryczny, usuwanie wągrów i krost, zdejmowanie elektrycznością znamion i brodawek oraz kurzajek, analizę włosów i elektrolicze. Porady lekarskie codzień od 4 — 6.

*Podlotkowi.* Wągrzy usuwa na posiedzeniu w Kalotechnice, następnie myć się perełkami alkalicznymi oraz wycierać twarz płynem Vesta, a wągrzy już się nie powtórzą. Włosy myć mydłem płynnym Antrasolowem i codzień nacierać Radiolem, łupież zniknie i włosy szybko rosnąć będą.

*Wołyniance.* Odmrożenie usunie Krem Eros. Na udelikatnienia rąk polecam rękawiczki kosmetyczne. Włosy trwałe barwi na kolor czarny farba D-ra Phonseca. Zbytnią otłość usunie herbata D-ra Daloffa oraz pigułki Oxystenowe — obydwie te środki są dla zdrowia absolutnie nieszkodliwe.

*Stalej prenum.* Zmarszczki rozprowadzi Autowibrator D-ra Johansena. Sposób użycia objaśni masażystka w Kalotechnice. Cerę najlepiej konserwują Otrąbki Vesta z wodą różaną Radjoaktywną.

Wszystkie wymienione tutaj środki Kalotechnika wysyła za zaliczeniem pocztowem. W Łodzi Spiess, w Wilnie Gruszewski, w Kijowie Jurotat, w Krakowie Reim, we Lwowie Pawłowski Akademicka 21, w Lublinie Bernatowicz w Sosnowcu Łączkowski.

M-me LENA.

### GABINET ŚWIATŁO I ELEKTROLECZNICZY D-ra Juljusza Wiśniewskiego.

Ordynatora Warsz. Szp. Ewangelickiego.

Leczenie Światłem Roentgena, Kromayegera, Elektrolicza etc. — Choroby skóry, włosów, paznokci i Weneryczne.

Zielna 29, telefon 165-85.

## POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 16/18. ————— Adres telegraficzny „ALGEM”.

WŁASNE FABRYKI W RYDZE.

Wszelkie instalacje Elektryczne. ————— Wielkie Składy materiałów elektrycznych.



# NAPOLEOŃCZYCY.

(WIELKOPOLANIE W WIELKIEJ ARMJI).

I.

DEZYDERY CHŁAPOWSKI.

**U**n *Polonais passe partout!* — junacki, z rycerskiej duszy, wykrzyknik młodziutkiego Chłapowskiego zwrócił na niego uwagę wielkiego z wielkich imperatora Francji, pana świata, Napoleona Buonaparte.

Było to po bitwie pod Jena. W puch rozbita armja pruska. *Élan* francuski przełamał jednym rozmachem sztywne kadry armji, która się jeszcze wciąż nazywała fryderykowską. Awangarda zwycięzców wkracza do Berlina. Z wieścią tą ztamtąd młody szlachcic wielkopolski pierwszy dopada do wielkopolskiej stolicy. Gorący zapał wielkich nadziei stawia na nogi pułki polskie pod Dąbrowskim i Wybickim. Cesarz, sam cesarz ma nadjechać... W formowanej dla niego z synów obywatelskich gwardji honorowej przynależy się miejsce zwiastunowi wielkiej wieści.

Parwenjusz korsykański obcesowo gromi obywateli, rubasznnością swą przeraża damy. Ale wielki strategik odrazu zajmuje się zrekognoskowaniem terenu — może przyszłych bitew. Zwiedza okolice Poznania konno. Zamęcza konia i otoczenie, niecierpliwy, nie znający przeszkód. Grudniowa słońca zmienia łąkę w bagno. Na dobitek oto rów, nad którym waha się sztab francuski. Jadący z tyłu z eskortą młodzik wrywa się naprzód i z zwycięskim okrzykiem przesadza rów i wskazuje przejazd.

Mały człowieczek w szarej kapocie, sam tylekroć urągający śmierci, cení brawurę. Odwaga, to podług niego, pierwsza zaleta człowieka. Ale szuka w nim także innych. Zaprasza tego, który zwrócił na siebie jego oko, przy obiedzie do swego stołu i bierze go na egzamin. A egzamin taki bywa niebezpieczny. Sam myśli szybko, jasno, logicznie i szuka tych samych właściwości u tego, którego chce wyróżnić. Rzuca gradem pytań, krótkich, treściwych, wymagając podobnych odpowiedzi. Pyta się o rzeczy, których nie wie, ale intuicją genialnego mózgu spostrzeże się odrazu na wartości informacji.

Dezydery Chłapowski zdał ten trudny egzamin.

Pytający, matematyk, ma luki w historii; interesowała go przeważnie historia bitew, kampanji. Cóż wie o „barbarzyńskiej“ Polsce? O Litwie, jeszcze wtedy, nic. Zaciekawia go, w jaki sposób Prusy książęce przypadły Brandenburgji. Układa już w myśli nowe zmiany mapy Europy.

Jest zadowolonym z udzielonych mu objaśnień. Będzie odtąd pamiętał o dzielnym i zdolnym Polaku.

To były pierwsze kroki młodego wielkopolanina w armji napoleońskiej.

Syn starosty Chłapowskiego, pochodził ze znanej rodziny wielkopolskiej. — Źródła historyczne mówią o Chłapowskich na Mazowszu; profesor Adolf Pawiński wymienia w jednej z swych prac Chłapowskiego, oficjalistę ostatniej księżniczki mazowieckiej, Anny.

Ojciec oddał młodego chłopca jako korneta do pułku dragonów pruskich. Sztuki wojennej uczył się młodzieniec w szkole artyleryjskiej w Berlinie. Ztamtąd odwołały go, jak we wstępie opisano, wypadki 1806-go roku. W dywizji wielkopolskiej wstępuje Chłapowski jako porucznik do pułku piechoty Sułkowskiego, pod Tczewem zdobywa legię honorową, przy obleżeniu Gdańska dostaje się do niewoli. Ale wielki cesarz, wśród tysiąca zajęć, kłopotów i trosk najważniejszych, pamięta o tym, który raz zasłużył na to, żeby go wyróżnić. Pisze sam do marszałka Lefèbre, aby tenże zwrócił się do pruskiego generała von Kalkreuth'a o zamianę jeńca. — „Zywię szczególniejsze zainteresowanie dla tego młodego człowieka“... Tymczasem jednakże jeńiec zostaje przewiezionym do Rygi i tam internowanym aż do tylżyckiego pokoju. Uwolniony, skierowuje się do Warszawy. Książę Józef Poniatowski mianuje go adjutantem Dąbrowskiego, ale tu znów Napoleon osobiście pamięta o nim, przywołuje go do siebie i mianuje własnym oficerem ordynansowym, używanym do najważniejszych misji. Zaszczyt nielada, ale i odpowiedzialność ogromna. Sprostął jej w pełni młody starościc. A zaczyna się dla niego życie dziwne, wytężone, bujne, wielorakie. Oddaje się pilnie studjom w szkole politechnicznej. Jest „cherubinkiem“ na świetnym dworze cesarzowej Józefiny. Pchany nagle błyskawicznymi rozkazami cesarza pędzi setki mil konno, co tchu w koniu, co siły w jeźdźcu. Z Bajony do Madrytu ma stanąć na trzeci dzień. Staje wcześniej. Prowadzić go muszą, gdy zsiadł. Z Valladolid do — Warszawy, nieomal z jednego krańca Europy na drugi, w dziewiętnaście dni! Odbywa kampanię hiszpańską, w austriackiej pod Eckmuehl dowodzi szwadronem w świetnych szarżach, tam na polu bitwy jako jeden z najwaleczniejszych zostaje baronem cesarstwa.

Nadchodzi Wielki rok 1812. Już uprzednio jeździł Chłapowski wprost w misji politycznej do Warszawy. Miał zasięgnąć wiadomości o stanie

Księstwa Warszawskiego i o duchu publicznym, takichż wiadomości o Litwie.

Teraz odznacza się znowu jako żołnierz i dowódca. Z wielką armją wkracza szef szwadronu szwoleżerów gwardji na Litwę.

Gore Moskwa!

Po trupami usianej drodze zaczyna się odwrót, wobec coraz natarczywiej następującego wroga, coraz niepewniejszych sprzymierzeńców. Gdyby Napoleon był tychże, Austryjaków i Prusaków, trzymał w środku pomiędzy korpusami francuskimi i polskimi, zamiast pozostawiać ich na skrzydłach armii, los wojny mógł być inny — zauważa trafnie Chłapowski, dając tem wiarę swych zdolności obserwacyjnych, strategicznych i politycznych.

Ale niewiarę w Napoleona wzbudziła w nim nie ta omyłka cesarza, tylko dowód, który przypadkiem dostaje mu się przed oczy, że Napoleon jako podstawę do układów z Rosją ofiarowuje Aleksandrowi I-mu — Księstwo Warszawskie. Chłapowski opowiada w pamiętnikach swoich wypadek ten, jak następuje. Odebrał rozkaz eskortowania Caulaincourt'a, wielkiego koniuszego cesarskiego, oraz Fain'a, sekretarza Napoleona, do przednich straży nieprzyjacielskich, celem układów z generałem Szuwałowem. Tain, mając Chłapowskiego „tak, jak za francuza“, pokazał mu przypadkiem „pod sekretem“ propozycje do układów: cesarz ofiarowywał Aleksandrowi całe Księstwo Warszawskie, pozwalając, aby tenże przyjął tytuł króla polskiego albo żeby Księstwo wcielił do swego cesarstwa

Na to Dezydery Chłapowski, podpułkownik wówczas gwardji, ozdobiony legją i krzyżem „virtuti militari“ baron cesarstwa, z dotacją, ordynans i faworyt cesarski — wszystko w wieku lat 24; rezygnuje z dalszych, świetnych nadziei; w chwili gdy gwiazda cesarza, po zwycięstwach pod Lutzen i Bautzen, znów jaśnieć zaczyna — Chłapowski podaje się do dymisji.

Z tym momentem kończy się jego okres życia jako napoleończyka. Następny, znany dostatecznie, tego życia przebieg już wypada po za ramy niniejszego obrazu.

Jako źródło do niniejszego szkicu służyły mi pamiętniki generała i obfita literatura historyczna, anegdotyczna i polemiczna, zajmująca się jego osobą, że wymienię tylko Mochnackiego, Dembińskiego, Prądzyńskiego, Barzykowskiego, Popiela, Kalinkę. Z monografji po dziś dzień najlepszą jest słynnego historyka, autora „Łukasińskiego“, lwowskiego profesora uniwersytetu, Askenazego. Mówi on, na jej wstępie, tak:

„Poważna i niezwykła postać Dezyderego Chłapowskiego znana była dotychczas niemal wyłącznie

z cudzych o nim głosów. Te głosy między sobą skroś były sprzeczne. Odezwały się najsamprzód namiętne lub potwarcze oskarżenia Mochnackiego i Wrotnowskiego, lekkomyśne zarzuty Dembińskiego lekceważąca opinja Prądzyńskiego, surowe zdanie Barzykowskiego. Potem przyszła kolej na rehabilitację, na gorącą obronę Macieja Mielżyńskiego, a po zgonie sędziwego generała przyszły hyperbole nekrologowe i biograficzne Pawła Popiela i Kalinki“.

Panegiryki są najgorszą, iście niedźwiedzią przysługą. Dla tego starałem się w mem opowiadaniu być zupełnie bezstronnym. Niema podstawy, nie wierzyć zapiskom generała. Był to człowiek, bez kwestji, rycerski i dzielny.

Postać jego, jako taka, wdzięczyła się też pióru powieściopisarzy historycznych, jak Gąsiorowskiemu w jego, z zacięciem napisanych „Szwolężerach Gwardji“ i barwnem „Było to pod Samosierra“, wydanych przez zasłużoną księgarnię K. Treptego w Warszawie.

Można powiedzieć, że dzięki nim stało się nazwisko jego naprawdę popularnem, jak nie było niem za życia. Popularności nie szukał. Zraził sobie niejednego dumą, czy poczuciem własnej wartości.

Początkiem zarzutów, jakkolwiek wybuchnęły one najgłośniej po wyprawie na Litwę, była właśnie owa wzięta przez niego dymisja z szeregów Napoleona. Ale tu właśnie pozwałam sobie stanąć w sprzeczności nawet z prof. Askenazym, który nie chce tego kroku usprawiedliwić, twierdząc, że oddanie Księstwa Warszawskiego cesarzowi Aleksandrowi było jeszcze jedynym ratunkiem dla Księstwa. Ratunkiem? Przecież jak się ułożyły losy Królestwa w następstwie, to wiemy. Młody oficer, zdolniejszy i bystrzejszy od wielu innych, widział, że Napoleon rzuca nas bez najmniejszego skrupułu na pastwę, i słusznie postąpił, że takiemu panu nie chciał dalej służyć. Dowód, że nietylko dzielnym żołnierzem, ale patryotą i mężem stanu był „ten człowiek małowówny, odosabniający się chętnie, pański w ułożeniu, wstrzemięzliwy i chłodny w obejściu, imponujący ludziom“, a — niestety, z winy owych ludzi — „niedość silny, aby ich opanować“. Zresztą najpochlebniejszym jest zawsze świadectwo nieprzyjaciół; „budził respekt i obawę“ — mówią o nim Rosjanie: Kołrakow, Dawidow.

Na zakończenie tej pierwszej, dla „Wsi Ilustrowanej“, sylwetki napoleończyka - wielkopolanina, prosi niżej podpisany, który sam w swym tomie nowel historycznych „Żołnierz W. Ks. Konstantego“ już potrafił o dobę napoleońską, o potrzebne do jej ilustracji materiały, (wprost „Do Redakcji Wsi Ilustrowanej“).

LUDWIK ROMOCKI.



## PRZED PORTRETEM.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Wczesnym rankiem ulicami Warszawy podążał woźny z teką w stronę Belwederu. Szedł zamyślony, zdawało się że nikogo nie widzi jeno ręką ciągle machał, jakby szablą — odganiając muchy, może wspomnienia...

Wszedł do Belwederu — tam bowiem kazali mu oddać ową tekę do urzędu. Urzędnika nie było jeszcze, pałac przygotowywano (na letnią rezydencję). Mnóstwo ludzi krzątało się z góry na dół — z dołu na górę — i jemu się zachciało tam wejść. Salony pustkami stały... gdzieś tam drabina, po której widać, miał się wgramolić robotnik, który w tej chwili poszedł na śniadanie. Przesunął się powoli — i oko ciekawe z pod krzaczastych brwi jeło wszystko rozglądać — wąs zawieszony — mina jakby wiarusa, zaprzęzonego do ciężkich robót w tym mundurze woźnego. Wszedł do sali, gdzie widniały obrazy — widocznie to go zajmowało, bo rozglądał się uważnie — a stara pochyła postać jakby się wyprostowywała na ten widok obrazów żołnierskich... Przy drzwiach spostrzegł jedno płótno, do którego podbiegł żywo. Wielki książe Konstanty miał ongi zamiłowanie do swoich pułków, jak dziecko do zabawek. Ustawiał — urządzał — muskał. I dla zabawki kazał z najurodziwszych ludzi obrazy malować. Doszedł do jednego obrazu... i stanął jak wryty. Przed pół wiekiem on tak wyglądał, przecież to był jego wizerunek, kazano mu przychodzić i jego tylko, jego samego malarz namalował i miał wówczas te szlify i miał ten pałasz... dzielna mina i miał jeszcze medal za ocalenie dziecka w czasie wylewu Wisły — i kogóż on nie miał wtedy?.. Żyli na Pradze jego rodzice, Mania szynkowała na Woli i byli zaręczeni — i mieli tyle marzeń szczęśliwych..., sława wszystko opromienia. Inne czasy, inni ludzie, wtedy wydrwigroszów nie znano człowiek dorabiał się uczciwie, a dla miłej Ojczyzny wszystko oddawano: i szczęście i żywot — a teraz co się stało? Pryśły marzenia — nad Ojczyznę powiał wiatr nieszczęścia. W tym samym mundurze w Grochowie krzyż mu przypinał Chłopiccki — ile to jeszcze złudzeń — później wszystko poszło na marne, lecz Bóg policzy te ciągle troski, ten wątek życia bez wytchnienia, snujący się w smutnej pomroce... Ha! było się wtedy szczęśliwym; nie zdawał sobie sprawy, że młodość w tym śnie szczęścia dawała dużo uroku ale rozpamiętywał swoje smutne dzieje, — kiwając głową. Wtedy to Mania biegła jak ptaszka, śpiewała piosenkę: „koniom wody daj!“ a z filuterną

miną dodawała: „Ja nie mogę wstać, koniom wody dać, gdyż mi mama zakazała, abym z wami rozmawiała, muszę jej słuchać!“! Gdzież to się podziało, gdzie?... Naraz mu przed oczami myśli staje Mania szynkareczka — kiedy nalewa do dzbana i do niego się zbliża: „pijcie za zdrowie nasze, domostwa naszego“, a stara szynkarka zerknęła okiem jakby groźnie, a pobłażliwie, — z pod oka się uśmiechnął szynkarz, rachując grosze i złote, mówiąc: za tego chłopca nie żal mi Mani oddawać, „wkrótce miało być weselisko, a was tak niefortunnie wezwali — niefortunnie po fortunę“. „Wtedy Manię ubiorę jak panią — mówił bo będę porucznikiem — Mania — porucznikową... Pamiętam tak mnie się nawet śniło. Widziałem, jak pułkownik krzyż włożył na piersiach a drudzy salutowali. Maniu będziesz panią — dodał. A może oko ci wybija — albo co, czy twoja mała Mania zechce przekonać braci... Zechce... zechce, bo s'awa wszystko pokryje... Ułan odwrócił się — bo nie chciał się rozczulić i mimowoli łąza się cisnęła do powieki... Co ci jest — zapytała się — może myślisz, że ci się co złego stanie? Ej, nie, ale oko boli od słońca... żegnam, żegnam was — zanucił wesoło — no, buziaka — krzyknął i już... Obabiony nie jestem i nie dam się rozczulić, pomyślał sobie w duchu...

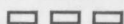
Znikł ułan... Mania płakała... choć nie żał dla miłej Ojczyzny wszystkiego się wyzbyć, ale czy wymódz można, aby ta ofiara radość przynosiła?... Zarobi na utrzymanie i na poważanie zastługą. Dzielny chłop — wybije się jakoś... — mówiono. — I wszystko mu się przesuwają przed oczami — osoby w wyobraźni wyrosły jak żywe i mówią do niego. Nie dziwota, że łąza się kiwając głową i mówi sam do siebie. Gdzie się to wszystko podziało? Po Grochowie nieszczęście tyle, a niewola!.. Powraca do domu — a jego domek na Pradze, gdzie mieszkali rodzice został spalony — mszczono się na nich, że syna mają „czwartaka“. I oni tego nie przeżyli — jak wrócił z niewoli — byli już pod ziemią, zimna mogiła pokryła te ukochane istoty... później odnalazł zubożałą narzeczoną — i później jeszcze ją się twardej pracy — nie wojennego rzemiosła, ale stolarki, do której był za młodu przeznaczony. Jakoś mu szło nienajgorzej. Ale praca była nad siły Mani, umarła, zostawiając mu dwie sieroty — dziewczyna poszła za matką... syna oddał do terminu — i gdzieś jest teraz na świecie, ale się ożenił i przepadł. Synowa to nie dziecko, zięcia,

córka prędzej na syna przerobi, niż syn synową, na córkę. Trudne starania, nie mógł przy nich zamieszkać. Ile to pracy kosztowało wychować tego syna nim wyszedł na rzemieślnika — teraz jest w Kole — dzieje mu się nieźle, ale stary nie myśli im się narzucać, godność dodała mu bodźca do życia do pracy — ażyby im nie ciężyc, on znajdzie utrzymanie, znajdzie pracę. I dał mu ją pan litościwy, dawny wojak, który go zwie kolegą — jest sam gdzieś w sądzie hipotecznym a jemu wynalazł zajęcie, i dotąd tam chodzi. Jakoś się przyzwyczaił do tego życia, od którego niczego się nie spodziewa. Po drodze są kościoły, codzień wstępuje i Zdrowański mówi za dusze tych, co go poprzedzili w krainę światła. On tam ich znajdzie. I naraz mu się ukochane postacie przesuwają — i zdają się mówić: przyjdź do nas! Nie, — on nie wytrzyma, on pośpieszy na to wołanie. Muzyka pułkowa zabrzmiała — zawołam: raz — dwa — trzy, marsz!...

Jakoś w oczach się zaćmiło — nic nie widzi, może łyzy wzrok zatamowały, chciałby przemówić — nie może. I nogi mu posłuszeństwa odmawiają, czarno się zrobiło, chwycił go ból ogromny, za bok się trzyma — i runął jak długi...

Nazajutrz w rubryce wypadków zanotowano, że woźny Michał Skowroński, który przyszedł z pliką papierów do Belwederu — nagle zasłabł — mimo pomocy lekarskiej ocucić go nikt nie był w stanie — pękła mu żyła w sercu.

MARJA Z PRZEZDZIECKICH WALEWSKA.



## Starościanka Gołaniecka.

Czarny smutek rozpaczcy ogarnął zamek gołaniecki.

Cały miesiąc broniła się załoga z zaciętością lwicy, walczącej o wolność i życie swojego dziecka. Jeden szturm Szwedów po drugim odpierała, dziecięć razy spychała obcych najeźdźców z murów w jezioro, ale tych najeźdźców było tak dużo, a ich, żołnierzyków polskich, tak mało...

Trzy razy wzywał komendant wojska szwedzkiego, zamek do poddania i zawsze odpowiadał mu pan starosta: dopóty starczy nam jednego naboju, nie oddamy twierdzy polskiej w obce ręce.

I oto zabrakło dziś tego ostatniego naboju. Prochownia była pusta, — nawet najdrobniejszego ziarenka byś nie znalazł, — świeciły także pustkami spiżarnia i stodoła — ludzie i konie wszystko zjedli, co było do zjedzenia. Połowa załogi albo legła chwalebą śmiercią walecznych, albo jęczała z cicha na łożu boleści, poraniona, okaleczona, niezdolna do boju.

Dalszy opór stał się niemożliwym. Trzeba się poddać. O, już ciągną wrogowie łodziami, promami przez jezioro, już idą nad cichymi falami ich radojne zwycięskie okrzyki, które zmieniają się wkrótce w dziki ryk roznamiętnionych oporem zdobywców. Wiedziano w kraju o drapieżności i okrucieństwie Szwedów. Z pod ziemi wydobiją ostatni grosz, zakopane naczynia, srebra, suknie, bronie, życia niczyjego oszczędzać nie będą, ani zdrowych ani rannych.

## POURQUOI SOUFFRIR?

Pytanie to nasuwa się mimowoli, gdy spojrzenie nasze pada na twarze wychudłe, blade, przedwcześnie pomarszczone o przygasłym spojrzeniu — typowe twarze neurasteników. Ludzie ci cierpią na migreny, bicie serca, brak apetytu, bezsenność i t. d. i widząc uporczywość cierpienia swego, tracą ochotę do życia. A jednak przeszło 15,000 lekarzy stwierdziło, że wszystkie te dolegliwości dają się skutecznie usunąć za pomocą systematycznej kuracji „Sanatogenem Bauera“ który znakomicie wzmacnia nerwy, pokrzepia organizm i przywraca energię życiową.

Sanatogen Bauera jest oryginalny tylko w pudełkach zaopatrzonych w czerwoną banderolę i jest do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych w opakowaniu 50, 100 i 250 gr. Dokładne wskazówki i odezwy lekarskie zebrane są w broszurkach:

### „POURQUOI SOUFFRIR“

„Środek wzmacniający i orzeźwiający zwłaszcza nerwy“  
i dostarczane są bezpłatnie przez

JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO SANATOGENU BAUERA, W WARSZAWIE, MARSZAŁKOWSKA 129.





Osowiła, z przygryzionemi z wewnętrznego bólu ustami, stała gromadka rozbitków załogi przed bramą strażniczą, otoczywszy swojego wodza, posiadającego w licznych bojach starostę.

— Zamek niech wezmą, bowiem daremną byłaby dalsza obrona, ale nas żywych, nie znieważą, nie sponiewierają. W łyki szwedzkie nie pójdziemy! Rzekłszy to, dobył starosta szabli.

— Nie pójdziemy! — zawtórowali mu żołnierze, błysnąwszy brzeszczotami. — Raczej zginąć, niż iść w niewolę!

— Raczej zginąć — odezwał się młody, dzwiczny głos niewieści.

Z dumą przygarnął starosta do piersi głowę swojej córki, która stała obok niego, uzbrojona po mężku. Płaszcz jasnych włosów spływał z pod srebrnego szyszaku na jej plecy, w dużych, niebieskich oczach majaczyła tkliwość słowiańska, ale zwarte szczelnie usta mówiły, że ta urodziwa dziewczyna wielkopolska umie chcieć, rozkazywać, nie ugiąć się nigdy, przed nikim. Córą rycerzów była. Rycerska dusza mieszkała w jej pięknym ciele.

— W niewolę wrogów mojej wiary i ojczyzny nie pójdę — wyrzekła z cicha, tuląc się do piersi rodzica.

Już przybijali Szwedzi do brzegu. Pierwszy wyskoczył na ląd, ich komendant młody, przystojny,

słusznego wzrostu pułkownik. Czerwone pióra powiewały na jego kapeluszu, długa, szeroka szpada zwieszała się na srebrnej wstędze przy jego boku.

Stanął na lądzie i zdziwił się. Zamiast pokornych, drżących z trwogi rozbitków, widział przed sobą żołnierzy z dobytymi szablami, czekających na niego w szyku bojowym. Sam walecznym żołnierzem był, umiał ocenić i uszanować cudzą odwagę. Więc uchylił kapelusza przed gromadką straceńców, mówiąc:

— Poddajcie się! Widzicie przecież, że opór wasz byłby daremny.

Wskazał ręką tłum swoich ludzi.

— Żywcem nas nie weźmiecie — odrzekł starosta — daj znak do boju, pułkowniku!

Szwed wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: jak chcecie! i już miał dać znak do walki, kiedy jego wzrok padł na starościankę. Stała wyniosła, dumna, z nagim brzeszczotem w prawicy; bez śladu wzruszenia na świeżej, różowej twarzy. Bogini wojny!..

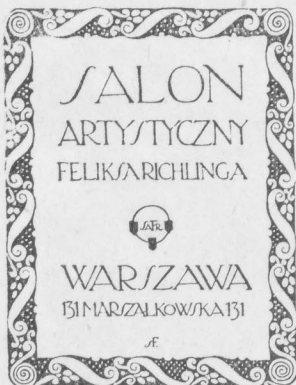
Szwed patrzył i patrzył. Podziw, zachwyt, uwielbienie mieniły się w jego oczach. Z urodziwej postaci starościanki powiał na niego nagle taki czar, że zapomniał kim był, po co przyszedł. Wolno zdjął po raz wtóry kapelusz z głowy i zbliżywszy się do

# A. HERTEL

## FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA № 29.

TELEFON № 22-21.



## WYSTAWA i SPRZEDAŻ

### DZIEŁ SZTUKI

#### pierwszorządnych artystów polskich

Najstosowniejszym i zawsze cennym upominkiem jest dobre dzieło sztuki. — Informacji udziela się także listownie.

### SALON RICHLINGA, WARSZAWA MARSZAŁKOWSKA 131.

## SKŁAD FABRYCZNY MEBLI GIĘTYCH

### BRACI THONET

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 20-29.

Kompletne urządzenia apartamentów, willi, teatrów, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.  
Wielki wybór gotowych salonów, jadalni, sypialni i t. p. na składzie.

dziewczyny, skłonił się przed nią tak nisko, że zamiotł piórami proch z ziemi.

— Jeśli ty, rycerska córo, oddasz mi swoje serce i swoją rękę, gniew mój nie dotknie zamku płomieniem i toporem, a żywa załoga wyjdzie z niego w zdrowiu z honorami wojskowemi.

Zbladły brzoskwińskie lica starościanki. Spojrzała na ojca, na zamek, na gromadkę straceńców i odrzekła:

— Proszę was, panie, o namysł do wieczora.

Szwed uklonił się w milczeniu, a swoim ludziom rozkazał:

— Rozłożyć się dokoła murów zamku i zachowywać się spokojnie aż do dalszych moich rozkazów.

\* \* \*

Starościanka klęczała w swojej komnacie przed krucyfiksem i rozmawiała z Bogiem. Wolnoż jej było, jej, Polce i katoliczce, oddać serce i rękę Szwedowi i lutrowi, wrogowi jej ojczyzny i wiary? Wolnoż jej było sprzeniewierzyć się swojemu narodowi i swojej religii, idąc w objęcia karta jej narodu, ponieważ jej religii?

Nie, nie wolno! jej nie wolno się sprzeniewierzyć wierze przodków. Cienie ich wyrzekłyby się jej, przeklełyby ją... wyrodną córkę.

A jednak... od jednego jej słówka: tak! zaley życie ojca i tych walecznych rycerzy, co z takim bohaterstwem bronili królewskiego zamku.

Nie, nie wolno. W jej piersi męźnej bije serce tkliwe, serce kochającego dziecka i wdzięcznej pani.

Starościanka biła głową o zimną, kamienną posadzkę, błagając:

— Pomóż mi, Panie!

Kiedy się tak modliła, szukając drogi wyjścia z okrutnego położenia, zdawało jej się, że słyszy w głębiach duszy głos cichy ale wyraźny.

— Jesteś dzieckiem rodu, który umiał na polach bitew poświęcać życie za wiarę i ojczyznę, który nie namyślał się nigdy, gdy trzeba było złożyć ofiarę ze swoich osobistych pragnień i lęków dla dobrej, uczciwej sprawy. Dlaczego pytasz o radę? Zapytaj się krwi swojej; ona ci odpowie, co ci uczynić należy.

Uważnie wsłuchiwała się starościanka w cichą mowę swojej duszy, swojej krwi, zrozumiała...

Jeszcze raz objęła krucyfiks ramionami, jeszcze raz ucałowała stopy Chrystusa i podniosła się z kolan spokojna, ukojona.

\* \* \*

Cicho, owiana wonnym oddechem wiosny, zstępowała z nieba pogodna noc czerwcową na ziemię, na lasy, na jezioro. Z lekkim szmerem uderzały ciemne fale o wały zamkowe, szepcząc pieśń wieczorną.

Na wale stała starościanka, a przed nią klęczał szwedzki pułkownik.

Miłuję cię nad życie, nad sławę żołnierską. Bądź moją, ukochaną, najdroższą żoną — błagał.

## BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddział: MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI”.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.

## Polskie Biuro Leśne

Ks. Zdzisł. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.  
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i faksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

MAGAZYN OPTYCZNY

# G. GERLACH



WARSZAWA  
ul. Czysta № 4  
Telefonu № 177.

POLECA:  
WSZELKIE NAJNOWSZE

PRZYRZĄDY OPTYCZNE,  
METEOROLOGICZNE, RYSUNKOWE i t. p.

PADEREWSKI, KUBELIK, BATTISTINI,  
ANZELMI wykonali cały szereg nowych  
utworów do gramofonu.

PŁYTY DO NABYCIA W SKŁADZIE

# B. RUDZKIEGO

Marszałkowska 87.



— Zanim ci odpowiem, powtórz za mną uroczystą przysięgę — mówiła starościanka.

— Przysięgnę na wszystko, co rozkażesz.

— Przysięgam na Boga i na honor rycerski, że z chwilą, gdy starościanka Gołaniecka opuści zamek, pozwoli odejść jej ojcu i jego wiernym żołnierzom w zdrowiu i spokoju, gdzie tylko zechcą, nie wstrzymywani przez nikogo i przysięgam, że nie oddam warownego grodu na pastwę płomieniom i zniszczeniu.

Wolno wymawiała starościanka słowa przysięgi, wolno powtarzał je za nią pułkownik szwedzki, dotknąwszy palcami prawej ręki głowicy szpady.

— A teraz, jeśli mnie chcesz pojąć za żonę, pójdz za mną — rzekła dziewczyna.

I rozłożywszy ręce, jak ptak zrywający się do lotu, rozkłada skrzydła, rzuciła się głową naprzód w ciemne fale jeziora.

Zerwał się Szwed z kolan, krzyknął, rozwarł ramiona, jakgdyby ją chciał pochwycić.

Zapóźno!

Głuchy plusk rozstępujących się pod ciężarem fal, a potem znów cisza pogodnej nocy czerwcowej... Starościanka Gołaniecka opuściła zamek i życie doczesne na zawsze. Daremnie pobiegł Szwed na brzeg jeziora... Nie było już nic widać.

Szwed nie złamał złożonej przysięgi, dotrzymał jej w całości.

Lud okoliczny opowiada, że corocznie około

północy, dnia 23 czerwca, ukazuje się nad wodami jeziora Smolarskiego biała postać niewieścia, rozkładająca ręce, jak gdyby błogosławiła ruiny zamku, za który starościanka Gołaniecka oddała swoje młode kwitnące życie.

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.



W KWIETNIU.

— Tatusiu... czy to teraz już kwiecień?

— Tak moje dziecko, niezadługo wszystko znacznie kwitnąć...

— A prawda, nawet nos tatulkowi zrobił się czerwony... pewnie zakwitnie.

**L. LIPIŃSKI**

Warszawa  
Plac Teatralny № 7  
Telefon 75-12

**MAGAZYN I FABRYKA  
WYROBÓW JUBILERSKICH**

Brylanty, Rubiny,  
Smaragdy,  
Szafiry i Perty.



**BIELIZNE**

DAMSKA  
SKROMNA  
WYKWINTNA  
CAŁKOWITE WY-  
PRAWY SŁUBNE

POLECAJĄ  
BRACIA **JABŁKOWSCY**  
WARSZAWA BRACKA 23  
PRÓBY I KATALOGI BEZPŁATNIE

*Magasin  
Français*

*G. Bargoin*

*Bijoux de Paris*

*Varsovie*

*Nowy-Swiat 45*

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP**  
**Sikawek, Narzędzi ogniowych**  
**i Aparatów assenizacyjnych**

42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce

**Józef Troetzer i S<sup>KA</sup>**

Egzystuje od 1842 roku

**w Pruszkowie**

**Biuro w Warszawie**  
**ul. Hr. Berga 2**

# O PRZEROBIE MLEKA SŁÓW KILKA.

Niez mordowany duch postępu, cechującego świat obecny, postępu wprost galopującego we wszystkich dziedzinach pracy stosowanej, nie pozostawił odłogiem i niwy rolniczej. Rzecz by można nawet, że w tej dziedzinie posunął się on w ostatnich latach znacznie dalej, niż w innych dziedzinach.

Minęły dawno te czasy, gdy powszechnym był jeszcze pług drewniany, siew ręczny, sprzęt zboża sierpem i młocka cepami w stodole, a w oborze dworskiej... pachciarz brodaty.

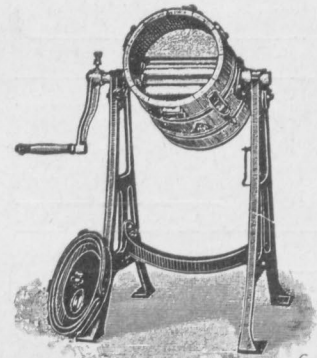


Charakterystyką dzisiejszego gospodarstwa rolnego jest stalowy pług — samochód, siewnik rzędowy, sztuczne nawozy, uprawa poplonów, żniwiarko - wiązalka i młocarnia parowa. Znikła też z widowni figura patriarchalna pachciarza, stanowiąca niezbędne dopełnienie obrazka idylli wiejskiej. Wyparła go wirówka — maszyna precyzyjna, oddzielająca z dokładnością prawie matematyczną śmietankę od mleka.

Ewolucja we wszystkich dziedzinach gospodarstwa rolnego, bodaj że największego przewrotu dokonała w dziedzinie gospodarstwa mlecznego. Dawniej, gdy mleko zabierał pachciarz po marnej cenie, nie dbano o ilość tego mleka, bo krowy utrzymywano prawie wyłącznie dla produkcji obornika; nie dbano i o czystość mleka, bo pachciarz zabierał je dla żydków małomiasteczkowych, klienteli, jak wiadomo, nie wybrednej i nie odznaczającej się wygórowanymi wymaganiami w smaku. Dziś hodowcy kalkulują tak, aby obornik wyprodukować darmo, a produkcja i przerób nabiału winny pokryć koszt utrzymania obory i dać jeszcze netto bardzo pokąźne.

Wynalezienie i rozpowszechnienie wirówki dało możność gospodarstwu nawet najdalej od wielkich środowisk ludzkich i arterji komunikacyjnych położonym zyskownego prowadzenia gospodarstwa mlecznego, pod postacią produkcji i sprzedaży masła. A że klientela, która dobrze za masło to płaci, ma i wymagania co do dobroci produktu bardzo wysokie, przeto i system wyrobu masła zmienił się do gruntu.

Cechą nowożytniej techniki mleczarskiej jest przedewszystkiem czystość, czystość pedantyczna przy dojeniu, czystość w mleczarni, czystość utensylii, maszyn i naczyń do przerobu mleka używanych, czystość wreszcie rąk i odzieży ludzi przy mleczarstwie pracujących. Dziś dziewczęta-dójki przychodzą do doju w czystych białych fartuszkach, a rączki mają bardzo starannie umyte; krowom przed dojeniem obciera się wymiona czystym lnianym gałgankiem, poczem rozpoczyna się dój. Odbywa się on w skopki z białej cynkowej blachy, łatwe do utrzymania w czystości. Mleko ze skopków zlewa się do wielkiej konwi przez cedzidło z podwójnym dnem z siatki metalowej, we wnętrzu którego umieszczona jest wata.



Wydojone mleko po wymierzeniu w mierniku blaszanym idzie do mleczarni, gdzie podgrzane do odpowiedniej temperatury, puszczone zostaje na wirówkę, która oddziela od niego śmietankę. Ta otatnia po schłodzeniu uprzedniem na chłodniku zostaje skwaszoną sposobem sztucznym, poczem wędruje do masielnicy obrotowej.

Wybrane z masielnicy masło wygniatą się na wygniatcu obrotowym lub specjalnej masielnicy-wygniatarce — dopełniającej czynność zmaśniania i wygniatania masła odrazu, poczem masło foremkuje się w foremkach drewnianych i zawinięte w papier pergaminowy jest gotowe do sprzedaży. Chude mleko odtłuszczone idzie na pokarm dla chlewni.

Zastosowanie wirówki dało możność rozwinięcia zyskownego hodowli trzody chlewniej, znajdującej w mleku chudem produkt pierwszorzędnej jakości pokarmowej, hodowli dziś nierozdzielnie z mleczarstwem związanej i zyskowność tej gałęzi dopełniającej.

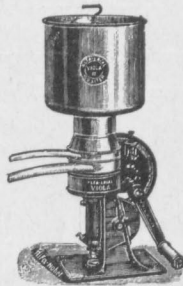
Jaką wirówką jest najlepszą?

Bez wątpienia ta, która najlepiej mleko odtłuszcza. W kraju naszym największą wziętością cieszą się wirówki „Alfa-Laval“, wyrabiane przez największą na kuli ziemskiej szwedzką fabrykę wirówek T-wa akc. „Separator“.

Wynalazcą wirówki był przed laty 35-ciu dr. inż. Gustaw de Laval, potomek rodziny francuskiej osiadłej z dawna w Szwecji. Współ z inż. Oskarem Lammem zawiązał on w 1878 roku spółkę, celem wyrobu wirówek. Spółka ta w roku 1883 przekształciła się na Towarzystwo Akcyjne „Separator“ i pod tą firmą istnieje po dzień dzisiejszy. Na Rosję i Królestwo Polskie wyłączne przedstawicielstwo tej firmy posiada Tow. „Alfa-Nobel“. Najdawniejsze istnienie wirówki „Alfa-Laval“ i trzydziestoletnia praca i praktyka, w sprawie ciągłego udoskonalania maszyny prowadzona przez niecofającą się przed żadnymi wydatkami firmę, sprawiły, iż wirówka Alfa-Laval istotnie stoi na poziomie technicznej sprawności, niedoścignionym dla wirówek innych.

Podczas gdy wirówki inne pozostawiają w mleku chudem 0,2% — 0,4% tłuszczu, wirówka Alfa-Laval, jak to wielokrotnie praktyka stwierdziła, pozostawia zaledwie 0,05% i mniej tłuszczu. Jest to ważnym ubocznym względem także i dla tych wielkich mleczarni, które prowadzą z chudego mleka wyrób kazeiny, która jest tem lepszą, im mniej chude mleko zawiera w sobie tłuszczu. Wszystkie prawie wielkie mleczarnie spółkowe w kraju naszym postawione zostały i obsłane maszynami przez Tow. Alfa-Nobel. W chwili obecnej buduje się i urządza przez daną firmę pierwsza wielka spółkowa mleczarnia miejska w Kaliszu.

Na czele Warszawskiego oddziału Tow. Alfa-Nobel stoi p. B. Skibiński, człowiek młody, rzutki i energiczny. Sprzedając w kraju naszym 75% rozchodzących się naogół wszystkich wirówek, nie zamyka się on w ciasnych ramach wyłącznego interesu firmy. Warszawski Oddział Towarzystwa Alfa-Nobel przyczynia się w miarę możliwości materialnie do rozwoju mleczarstwa krajowego, jednocześnie specjaliści instruktorzy mleczarscy firmy rozwijają szeroką działalność pokazowo - pedagogiczną. Każde poważniejsze poczynanie w sprawie rozwoju mleczarstwa, spotyka się z czynnym poparciem ze strony dyrektora firmy, rozumującego słusznie, iż firma zarabiająca w kraju naszym winna się przyczynić do rozwoju mleczarstwa krajowego.







Lucyna Messal.

**LUCYNA MESSAL**wychodzi  
na**PATHÉFONIE**znakomicie, czysto, głośno  
i absolutnie naturalnie.

Nowe nagrania nadeszły.

GŁÓWNY SKŁAD

**ADAM KLIMKIEWICZ**

WARSZAWA, WIERZBOWA 8

**BIURO MELIORACYJNE  
INŻ. OTMIANOWSKIEGO**Warszawa, Koszykowa 19, Telefon  
237-10.Drenowanie, Melioracja łąk, Gosp.  
Rybne, Uprawa i Eksploat. Torfów.

Referencje z robót wyk. w kraju i Ks. Poznańskim.

**BANK HANDLOWY w ŁODZI**

założony w dniu 1/13 października 1872 r.:

KAPITAŁ ZAKŁADOWY RUB. 10,000,000 FUNDUSZE REZERWOWE RUB. 5,500,000

INSTYTUCJA CENTRALNA:

w Łodzi, przy ulicy Średniej 16/336.  
(gub. Piotrkowskiej)

ODDZIAŁY:

w Warszawie (Erywańska Nr. 6).  
Lublinie, Radomiu i Kielcach,

MAGAZYNY TRANZYTOWE w LUBLINIE.

Agentury: w CHEŁMIE (gub. Lubelskiej), ZAMOŚCIU (gub. Lubelskiej) i OSTROWCU (gub. Radomskiej).

Adres telegraficzny: dla Instytucji Centralnej: „HANDLOWY“, dla Oddziałów i Agentur „BANKŁÓDZKI“.

Tow. Akcyjne Handlowo-Przemysłowe

**„Ł. J. Borkowski”**

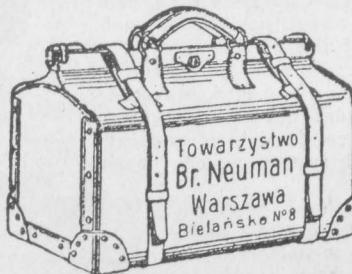
Zarząd Warszawa, Mazowiecka 11

Dąbrowa Gór., Łódź, Lublin, Częstochowa, Radom, Moskwa, Dźwińsk,

POLECA Z WŁASNYCH SKŁADÓW i z FABRYK:

żelazo handlowe, blachy żelazne, cynkowe, cynkowane, miedziane; belki żelazne, cement, węgiel i koks, rury żelazne, szyny, śruby, mutry, nity, łopaty stalowe, grabie, lemieszki i odkładnice, stal narzędziowa i zwykła, odlewy surowcowe, sprzężyny do maszyn rolniczych (do grabi, kultywatorów i t. p.) beczki żelazne do nafty i spirytusu, kosy sztyryjskie i krajowe, kosy do sieczkarń, osie, buksy, łańcuchy, gwoździe i drut, pasy do maszyn skórzane i z sierści wielbłądziej, kowadła, imadła, wierterki, tokarnie, pilniki, podkowy, hufnale, pakunki wszelkiego rodzaju i t. p.

CENY HURTOWE. — CENNIKI NA ŻĄDANIE GRATIS.



KUFRY podróżne dla dam i panów, KUFRY do kapeluszy damskich i męskich, KUFRY do prób, WALIZY, TORBY, NESESERY, oraz wykwinna galanterja skórzana. Wielka wyprzedaż Damskich torebek najnowszych fasonów w składzie fabrycznym

**T-wa BRACI NEUMAN**

WARSZAWA, ul. BIELAŃSKA № 8

(róg Daniłowiczowskiej obok nowego gmachu Banku Państw.)

**Apteka Homeopatyczna**

Towarzystwa Zwolenników Homeopatyi

W WARSZAWIE

ul. NOWY-ŚWIAT № 16

Telefon 23-44.

Wysyła lekarstwa  
za przekazemCENNIKI ILLUSTROWANE  
BEZPŁATNIE.

Dochód z apteki przeznaczony na budowę Szpitala Homeopatycznego.

**Fay'a**Prawdziwe Sodeńskie Mineralne Pastyłki  
przeciw kaszlowi i chrypcy.

Żądać we wszystkich aptekach i składach aptecznych.